

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 60 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 63 (dom własny) Telefon Nr. [illegible]

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok X. — Kraków, 3 maja 1913. — Nr. 18.

Tajemnica parku w Teresinie.

(Treść na str. 2).



Treść numeru: Finał wojny bałkańskiej. — Polska za Oceanem. — Największy olbrzym morski. — Pogrzeb po ośmdziesięciu dziewięciu latach. — Dwudziestolecie Tow. dziennikarzy polskich we Lwowie. — Koniec strejku w Belgii. — Dla podniesienia przemysłu domowego. — Nowy arcybiskup wiedeński. — Jubileusz artysty i t. d.

Tajemnica parku w Teresinie.

(Do illustracyi tytułowej).

Przed kilku dniami Warszawa została wstrząśniętą sensacyjną wiadomością. W miejscowości Teresin, obok stacyi kolejowej linii, łączącej Kalisz z Warszawą, w parku swego majątku został zamordowany książę Władysław Drucki-Lubecki.

Przybył on tam w towarzystwie ordynata Jana br. Bispinga. Po obiedzie obaj panowie pojechali na spacer do parku, poczem książę kazał założyć konie do faetonu i sam, bez stangreta, odwiózł gościa swego na stacyę, odległą o połtorej wiorsty od pałacu.

Gdy książe z tej wycieczki do wieczora nie wrócił, rozpoczęto poszukiwania i znaleziono w lesie między stacyą a parkiem dworskim zwłoki księcia, który w tajemniczy sposób został zamordowany. Z pozycyi zwłok i innych oznak stwierdzono, że książę został nagle zaatakowany, bronił się i wreszcie uległ pod ciosami. Na stacyi kolejowej nie był.

Rozpoczęto bardzo energiczne śledztwo, które ustaliło szereg bardzo ciekawych momentów. Ordynat Bisping, przesłuchany, stwierdził, że książę spotkał po drodze dwóch mężczyzn, z którymi zaczął rozmowę. Br. Bisping, bojąc się spóźnić na pociąg, poszedł na stacyę piechotą i odjechał do Warszawy.





Finał wojny bałkańskiej:

Ulica w Skutari.

Kościół katolicki w Skutari.

Oględziny trupa pokazały, że został on trafiony dwoma kulami rewolwerowymi, a następnie dobity kolbą rewolweru.

Śledztwo musi pracować w warunkach bardzo trudnych, gdyż zbrodniarz zręcznie zatarł za sobą wszelkie ślady. Stwierdzono jedynie, że jakiś tajemniczy, czarno ubrany osobnik kupował w tym dniu bilet w sąsiedniej stacyi Błonie do Warszawy. Miał on żółte buty. Mimo użycia psa policyjnego nie ustalono dotychczas, w jakim kierunku morderca z parku uciekł.

Cała sprawa przedstawia się bardzo zagadkowo. Nie jest to morderstwo rabunkowe, gdyż wszystkie kosztowności i pieniądze znaleziono przy trupie. Mogłoby to być tylko morderstwo z zemsty lub w gniewie. Dotychczas jednak brak wszelkich podstaw, kogo należałoby o to podejrzewać.



Finał wojny bałkańskiej: Żołnierze bułgarscy w meczecie Selima II w Adryanopolu, jednej z najwspanialszych świątyń tureckich.



Finał wojny bałkańskiej: Obrońca twierdzy adryanopolskiej Szukri basza i dowódca armii bułgarskiej jen. Iwanow po kapitulacyi Adryanopola.

Tajemnica parku w Teresinie na razie jest niewyjaśniona i kto wie, czy kiedy wyjaśnioną zostanie.

Tytułowa nasza illustracya przedstawia moment, gdy znaleziono zwłoki ks. Druckiego-Lubeckiego.

Finał wojny bałkańskiej.

Na terenie wojny bałkańskiej zapanował wreszcie upragniony ula obu stron walczących spokój... Bułgarzy zdołali już zagospodarować się w Adryanopolu, którego zdobycie było ostatnim etapem ich zwycięskiego pochodu, a zakończył kampanię z Tur-



Albańczycy w Skutari.

Finał wojny bałkańskiej:



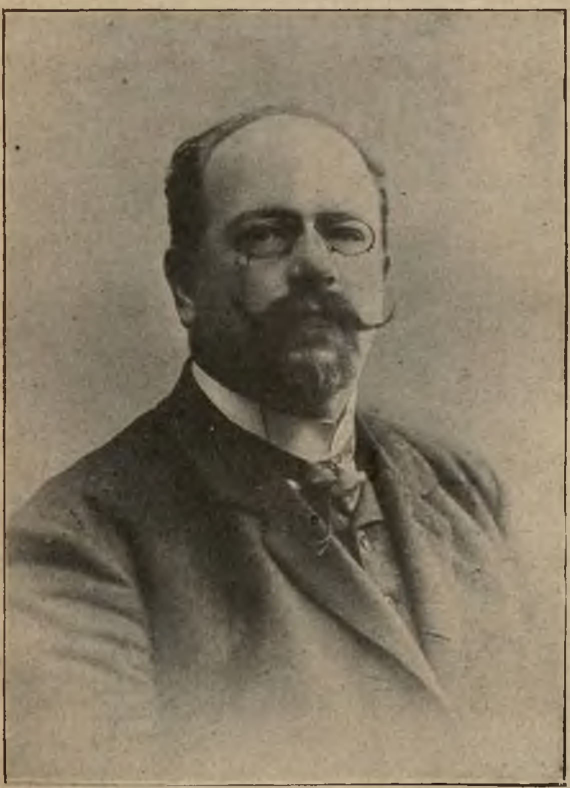
Po zdobyciu Adryanopola.

cyą król czarnogórski Nikita, który wbrew całej Europie, lecz zato przy... asyście międzynarodowej floty zdobył Skutari.

Państwa związku bałkańskiego osiągnęły wszystko, czego zapragnęły — drwiąc sobie najoczywiściej z „Europy“, która, zaskoczona tymi faktami, z trudem ratowała pokój europejski... I obecnie ostatni finał wojenny — zdobycie Skutari przez Czarnogórców — sprowadził nowe zawikłania wojenne na horyzoncie polityki europejskiej... Zdobywając Skutari, król Nikita — wystąpił przeciw całej Europie, która jak najsolenniej przyrzekła to miasto Albanii...

Jakkolwiek politycy wszelkich odcieni sygnalizowali znów „sytuacyę bardzo poważną“ i t. d. trudno jednak przypuścić, aby rzeczywiście mogło przyjść do wojny europejskiej z powodu Skutari... Trudno uwierzyć w taki nonsens polityczny...

Co zrobi „Europa“ z niesfornym królem Nikitą, najbliższa przyszłość pokaże... W każdym razie wojna bałkańska kończy się sytuacyą, nie tyle poważną, ile humorystyczną — bo walką Czarnogóry z całą Europą i Europy z królem Nikitą!



Jubileusz artysty: Prof. Władysław Galimski, założyciel szkoły malarstwa i rzeźby w Kijowie.

Jubileusz artysty.

W Kijowie obchodził 25-letni jubileusz pracy artystyczno-pedagogicznej rodak nasz, Władysław Galimski, artysta-malarz, twórca wielu obrazów rodzajowych i pejzaży, wychowaniec Cesarskiej Akademii Petersburskiej.

Władysław Galimski urodził się na Ukrainie, jako potomek znanego oddawna na kresach rodu szlacheckiego. Gimnazyum ukończył w Kijowie. Do Akademii w Petersburgu wstąpił w roku 1880-tym i ukończył ją ze złotym medalem w roku 1888-ym. W pięć lat potem, w roku 1893-cim, otrzymał najwyższy tytuł „akademika“, równający się tytułowi „doktora Sztuk Pięknych“. Wkrótce po ukończeniu Akademii, osiadł na stałe w rodzinnym Kijowie, gdzie w świecie artystycznym zajął odrazu wybitne stanowisko.

Od 15 lat prof. Władysław Galimski prowadzi w Kijowie przy ul. Lwowskiej L. 14 własną szkołę malarstwa i rzeźby, zatwierdzoną przez Akademię Sztuk Pięknych i przez ministerstwo oświaty. Ze szkoły tej wyszło wielu uczniów i uczenic, znanych dziś ze swej działalności artystycznej.

P. Władysław Galimski jest nietylko wybitnym i zasłużonym artystą, ale i dzielnym obywatelem oraz gorącym patryotą polskim. To też w dniu jego jubileuszu ze wszystkich stron i ze wszystkich obozów popłyną niezawodnie serdeczne życzenia, by długo jeszcze pracował na chwałę sztuki i na chwałę polskiego imienia na dalekich naszych kresach.

Pogrzeb po osiemdziesięciu dziewięciu latach.

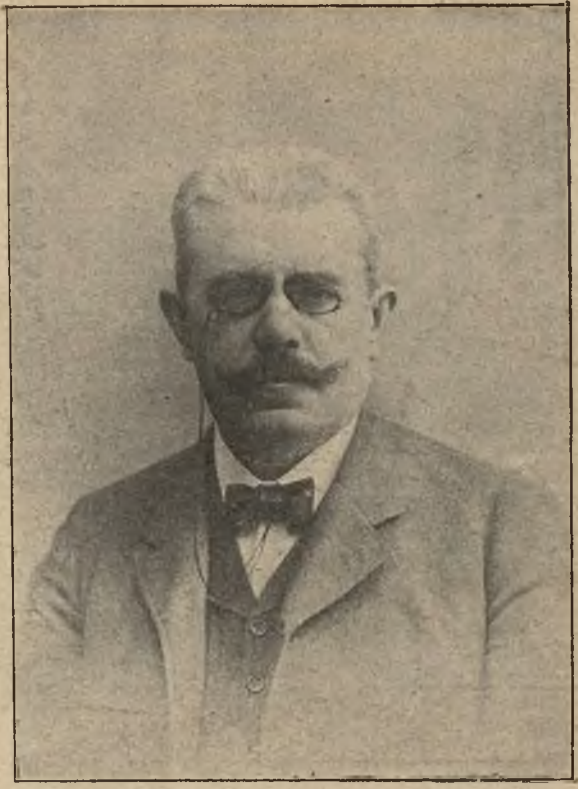
Na jarosławskim cmentarzu spoczywa kilku wybitnych oficerów armii austryackiej. Między innymi



Pogrzeb po osiemdziesięciu dziewięciu latach: Eksportacya zwłok zmarłego w r. 1824 marszałka polnego Fran. Fennera na dworzec w Jarosławiu.



Finał wojny bałkańskiej: Zdobyty przez Bułgarów reflektor turecki na pobojowisku twierdzy adryanopolskiej.



Dwudziestolecie Tow. dziennikarzy polskich we Lwowie: Redaktor „Nowej Reformy" Michał Konopiński, wiceprezes Tow. dziennikarzy polskich we Lwowie.

pogrzebany tam został w r. 1824 marszałek polny Franciszek Filip Fenner z Fennebergu. Odznaczył on się w walkach przeciwko Francyi, a w r. 1813 za waleczność w bitwie pod Mühlbach otrzymał krzyż komandorski orderu Maryi Teresy. W tymże roku na polecenie cesarskie utworzył pułk strzelców pod swem nazwiskiem, którego właścicielem był do roku 1824. Pułk ten przyjął następnie nazwę „cesarskich strzelców tyrolskich".

Na górze Isel pod Insbruckiem pułk ten wybudował wielkie mauzoleum, w którem mieszczą się groby wszystkich zasłużonych uczestników pułku. W pierwszym też rzędzie wydobyto z ziemi spoczywające na cmentarzu jarosławskim zwłoki założyciela pułku i przewieziono je uroczyście do Tyrolu, gdzie będą złożone w mauzoleum.

Illustracya nasza przedstawia uroczyste przewiezienie zwłok marszałka br. Fennera na stacyę w Jarosławiu.



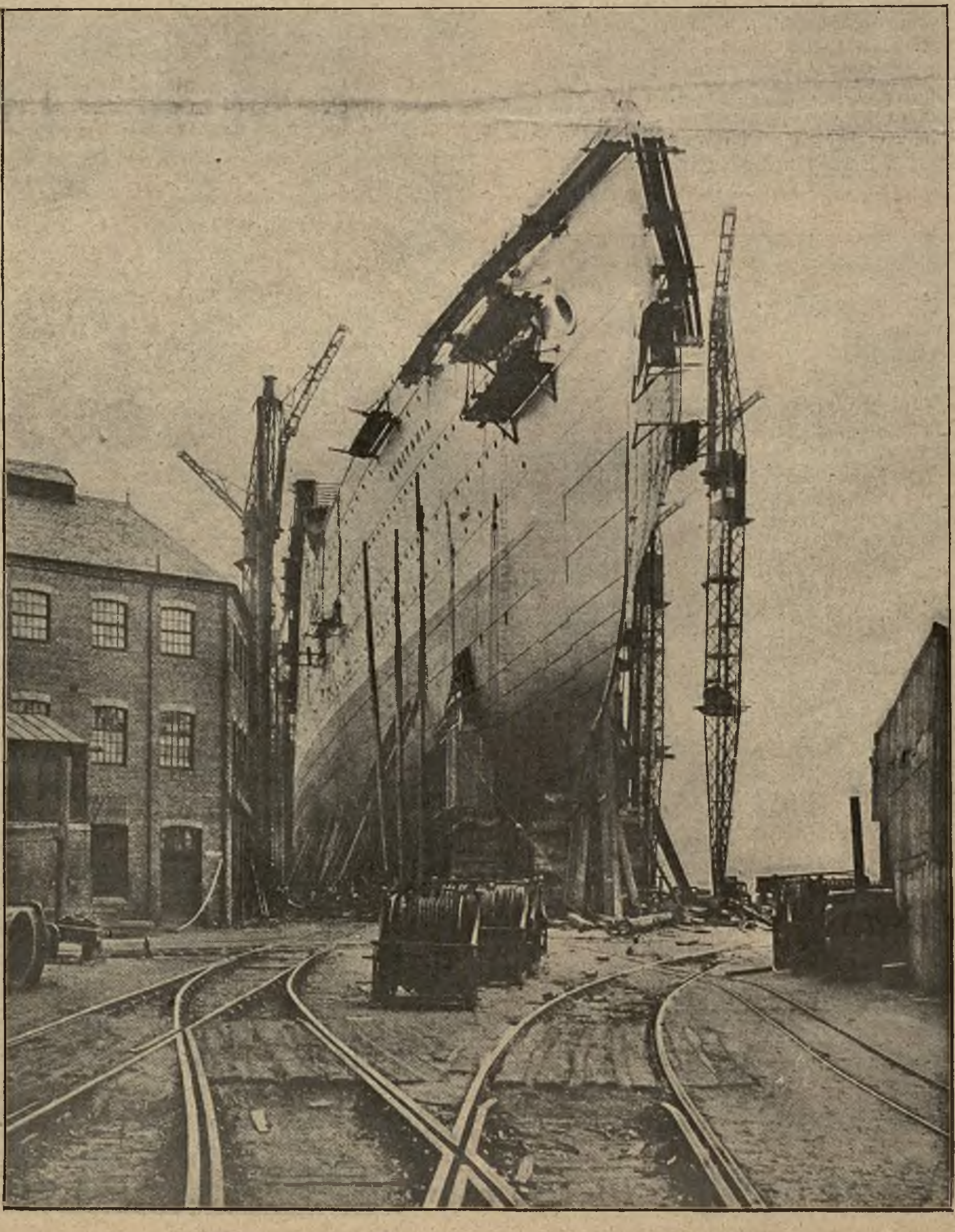
Dwudziestolecie Tow. dziennikarzy polskich we Lwowie: Prezes Adam Krechowiecki.

Największy olbrzym morski.

Żyjemy pod znakiem rywalizacyi, która jest głównym bodźcem postępu na wszystkich polach ludzkiej działalności. Rywalizują ze sobą nietylko jednostki, ale narody i państwa które są niezmordowane zwłaszcza na punkcie ulepszeń militarnych... Taka rywalizacyjna walka toczy się obecnie pomiędzy Anglią a Niemcami co do budowy okrętów nietylko wojennych, ale i pasażerskich... Niedawno wypłynął na wody niemiecki okręt „Imperator", którym Niemcy chciały zaćmić nawet Anglię, gdyż miał to być największy okręt na świecie... Niestety, duma i radość niemiecka trwała nie długo, bo Anglia nie chciała pozostać w tyle i wybudowała nowy okręt („Akwitanię"), który jest jeszcze większym olbrzymem. Jest on dłuższy od niemieckiego „Imperatora" o 121 stóp angielskich, a wyższy o 33 stopy angielskie.

Niemcom nie pozostaje nic innego, tylko rozpocząć budowę nowego okrętu, któryby swą wielkością zaćmił znowu „Akwitanię". Nie na wiele to jednak się przyda, bo Anglia potrafi na morzu dotrzymać placu swym niemieckim rywalom...

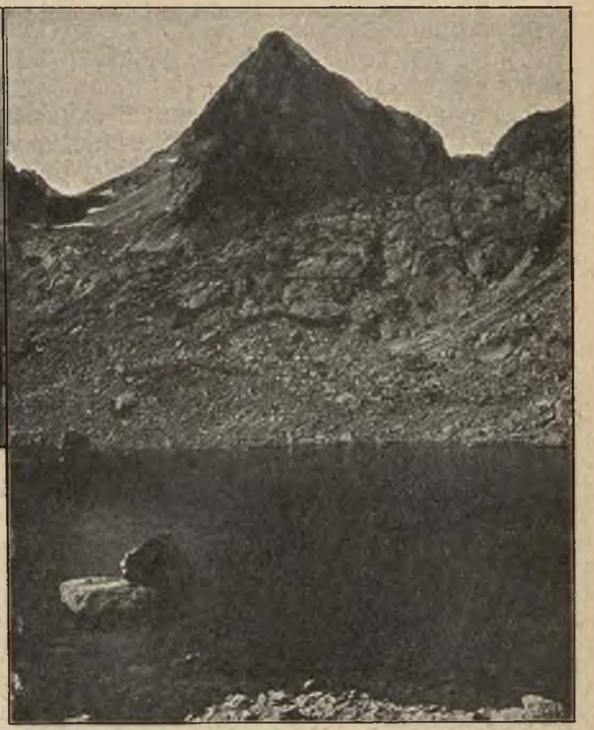
Końca tej pokojowej walki trudno też przewidzieć. W każdym razie w danym momencie największym olbrzymem morskim jest angielska „Akwitania", którą przedstawia nasza illustracya przy wykończeniu jej budowy w dokach angielskich.



Największy olbrzym morski: Okręt „Akwitania" w dokach angielskich.







ARTUR GRUSZECKI

POD CZERWONYM WIRCHEM

10

Wstała, nacisnęła guzik dzwonka elektrycznego i rzekła do numerowego:

— Kiedy poczta tu przychodzi?

— Rano o tej porze i popołudniu.

— Proszę się dowiedzieć, czy niema listu do mnie... Jerzycka.

— Natychmiast, jaśnie pani.

Za chwilę wrócił, przynosząc listy, jeden do pani Wandy, dwa do pana Jerzyckiego. Zajęli się odczytywaniem, a gdy pani Wanda skończyła, spytał:

— Od kogo masz list?

— Od cioci, donosi mi, że Ninka zdrowa i wesoła.

— Widzisz, niepotrzebnie się martwiłaś, ale już taka twoja natura, — westchnął, — ja mam list od rządcy. Buraki wywiezione przy pierwszym przymrozku.

Dało się słyszeć lekkie pukanie do drzwi, zajrzała Ryta.

— Czy nie przeszkadzam?

— Wcale nie, proszę cię, — zawołała pani Wanda z ulgą, — dlaczego nie przyszłaś wcześniej?

— Chciałam, ale mamę odprowadziłam na leżaki i jak tylko się zwolniłam, wpadłam do ciebie.

— Nie pójdzie pani do Zakopanego?

— Nie! Wprawdzie większość naszych pań idzie po prawdziwe lub urojone sprawunki codziennie przed obiadem, ale ja nie lubię tego.

— Woli pani nudzić się w zakładzie?

— I to nie... Idę na dalsze spacery, o ile pogoda i mam czas.

Pani Wanda zaczęła pytać o sklepy, o ceny tych i owych rzeczy, aż znudzony mąż rzekł:

— Czy nie lepiej rozmawiać na spacerze, aniżeli w pokoju? A może pojedziemy do cukierni, tam podobno zbierają się goście dość licznie? — patrzał na Rytę.

— Bywają, ale więcej około piątej, szóstej, na podwieczorek.

— Cóż? Idziemy?

— Ja wolę zostać... ale może ty, Ryto?

— Nie, mama może mnie potrzebować.

— W takim razie, żegnam panie, może znajdę towarzysza lub towarzyszkę, — uśmiechnął się z przymusem.

Przy obiedzie zaczęto się umawiać o saneczkowanie, do którego zachęcał gorąco pan Jedliński i zwrócił się do pani Wandy:

— Niech pani tylko obaczy, jak to przyjemnie zjeżdżać, nabierze pani ochoty.

— Może później, nie dzisiaj.

— No, a pan?

— Odjeżdżam dzisiaj, nie mogę.

— O, z pana twardy człowiek, — zaśmiała się pani Łącka, — nie daje się pan namówić, ani uprosić.

— Interesa wymagają mej obecności.

— No, teraz jasne, że pani Jerzycka nie może brać udziału w saneczkowaniu, — odezwała się pani Porecka, — mimo usilnych próśb pana Jedlińskiego. Mąż ma zawsze pierwszeństwo, trzeba go pożegnać... odprowadzić na dworzec kolejowy...

— My nie praktykujemy ostentacyjnych czułości, — uśmiechnęła się pani Wanda, — i nie odprowadzamy na dworce.

— To dziwne, — mówiła z godnością, — u nas inaczej, ale dziś uważają młode kobiety za brak taktu okazywać wierną miłość małżeńską, zaledwie noszą obrączkę.

— Tylko, jako uzupełnienie paszportowe, — zaśmiała się pani Wanda, której robiło przyjemność sprzeciwianie się pani Poreckiej.

— Nie rozumiem, kuzynko, — zaczęła zgorszonym tonem pani Łącka, — jak można swe upodobanie stawiać jako ogólną zasadę.

— O co idzie? — spytała zdziwiona pani Wanda.

— Jeśli kuzyncе nie robi przyjemności odprowadzanie, to rzecz twoja, ale są osoby tak ukochane, tak drogie, że z ich obecności korzysta się do ostatniej chwili, do ostatniego tchnienia, i to uważa się za szczęście najwyższe, — kończyła rozczulona.

Pani Wanda nie zrozumiała, skąd wzięły się te słowa drgające jakimś żalem i bólem w ustach zwykle tak szorstkiej pani Łąckiej, spojrzała na Rytę, która siedziała chmurna, ze spuszczonemi oczami i pani Wanda, li tylko dla podtrzymania rozmowy, powiedziała swobodnie:

— Nie chciałam dotknąć niczyich uczuć, mówiłam tylko o sobie, i to ja nie lubię tych czułości w chwili odjazdu, ukłonów, powiewania chustką, bo są zbyt ostentacyjne, ażeby były szczere.

— Zgadzam się z panią Jerzycką, — odezwała się pani Mniewska, — subtelnych uczuć nie roznosi się po drogach publicznych.

— Tak, tak, — zaśmiał się drwiąco pan Maniecki, — ich miejsce w salonikach, w gabinetach, w ustronnych altanach.

Panie uśmiechnęły się, patrząc z pod oka na zarumienioną panią Maniecką, która odpowiedziała tonem podrażnionym:

— A pan roztrębywał z ratusza i dlatego nie znalazł pan żadnej.

— I zostałem sowicie wynagrodzony, — zaśmiał się, — życie jest ciężarem i chwalę Pana Boga, że mam tylko jeden do dźwigania.

— A jednak mówią, — odezwała się tonem dystyngowanym Madzia Porecka, rzucając spojrzenie na pana Jedlińskiego, — że podzielone cierpienie jest połową cierpienia, a podzielona radość podwójną radością.

— Sentymentalizm, — drwił pan Maniecki, — w życiu inaczej... Mąż stracił, dajmy na to przegrał w karty, albo na giełdzie, cierpi z tego powodu, a miła żoneczka, ta połowa, dalejże na niego i sypią się wymówki, gniewy, fochy... i mamy podwójne cierpienie.

Pan Jerzycki z uśmiechem tryumfu spojrzał na żonę, zadowolony skinął głową i mruknął:

— Tak, tak, to bywa.

— To przykład dowolnie obrany, — zaczęła pani Porecka, prostując się z godnością, — ale w razie choroby...

— Jadę do lecznicy albo zakładu i uwalniam żonę od współcierpienia, — przerwał jej ze śmiechem pan Maniecki.

— Z panem trudna dyskusya, — powiedziała z przymuszonym uśmiechem pani Porecka, — tylko pan Borowiecki dotrzymuje panu.

— Żałuję, że go niema, bo chociaż to rycerz bez trwogi, ale w tym wypadku zgodziłby się ze mną.

— Czy nie pisał pan Borowiecki do zakładu? — spojrzała pani Łącka na doktora.

— Nie, ale sądzę, że za dwa, trzy dni wróci, bo są listy do niego.

— Kto jest pan Borowiecki? — rzucił pytanie pan Jerzycki.

— Dokładnie nie wiem, — odpowiedziała pani Łącka, — ale przyjemny, dobrze wychowany człowiek, mieszka tu od miesiąca... tylko nieobliczalny.

Ryta na wzmiankę o Borowieckim leciutko się zarumieniła, chciała coś powiedzieć, ale umilkła.

— Jakto nieobliczalny? — spytała pani Wanda.

— Czasem rozmowny, wesoły, bawi całe towarzystwo, to znów chmurny mruk, a teraz, nie pożegnawszy się nawet, uciekł gdzieś w góry.

— Nic w nim niema szczególnego i tajemniczego, — uśmiechnął się drwiąco pan Jedliński, — chory człowiek, który po prostu nie panuje nad swymi nerwami i wrażeniami, idzie na oślep i szuka tego, czego nie zgubił.

Ryta spojrzała niechętnie na mówiącego, zaś pani Łącka dodała:

— Z pana dobry obserwator.

— To się nabywa z praktyki adwokackiej, każdy klient jest niewinną ofiarą i dopiero po zbadaniu okazuje się prawda.

— Zajęcie adwokata, — odezwała się Ryta, — musi być niemiłe, w każdym widzi się zbrodniarza.

Zaczęła się ożywiona rozmowa nad dodatniemi i ujemnemi stronami różnych zawodów.

Po skończeniu obiadu, pan Jerzycki z kilku panami, kazali podać czarną kawę w gabinecie, zaś pani Wanda z Rytą poszły na spacer, korzystając z pogody.

— Mama twoja jest jednak dość porywcza, — uśmiechnęła się pani Wanda.

— Z czego sądzisz? — patrzała w jej oczy Ryta.

— Tak mnie dziś zgromiła, — mówiła wesoło, bez cienia urazy, pani Wanda, — za owo odprowadzanie na kolej.

— Zauważyłam... to widzisz następstwo bólu i choroby mamy... Po śmierci mej starszej siostry, którą mama bardzo kochała, zachorowała mama... teraz jest znacznie lepiej, ale przy każdej wzmiance wpada mama w dawny nastrój... to tragedya jej życia.

— Teraz rozumiem, — westchnęła pani Wanda, — ale i ty musisz dużo znosić.

Ryta spochmurniała i rzekła niemal szorstkim głosem:

— To inna rzecz, nie mówmy o tem, — a po chwili łagodniej: — szkoda pięknego dnia na takie sprawy... kiedyś powiem ci może.

Rozmowa przeszła na inne pole. Ryta wymieniała i wskazywała szczyty i wirchy Tatr i rzekła:

— Jak tam musi być pięknie!

— A ty nie byłaś Ryto na Giewoncie?

— Nie! W lecie nie byłam w Zakopanem, a w zimie mówią, że niepodobna iść bez narażenia się na śmierć; ale jak tylko zejdą śniegi, pójdę, a ty?

— Nie mogę z powodu zawrotów głowy, nawet nie mogę patrzeć z okna trzeciego piętra.

— Czy to następstwo choroby?

— Tak jest, Ryto, dawniej nie miałam tego.

Zaczęły mówić o przykrościach, spowodowanych chorobami, a jak wiadomo, jest to temat obszerny i interesujący.

Na jakie pół godziny przed wyjazdem męża z zakładu wróciła pani Wanda. Pożegnanie było dosyć chłodne i ceremonialne ze strony pani Wandy, a pan Jerzycki widząc bezskuteczność swoich usiłowań rozczulenia żony, zirytowany pożegnał ją szorstko i zimno.

V.

Dla pani Wandy życie spokojne, unormowane, bez wielkich wzruszeń i podrażnień, jakie prowadziła w zakładzie, odciętym od bezpośrednich stosunków ze światem zewnętrznym, którego odgłosy dochodziły przez listy i gazety, okazało się w swych następstwach dobroczynnem i kojącem. Na razie odczuwała całą przyjemność, że może zamknąć się w swym pokoju, używać samotności dowolnie, nie widzieć nikogo z ludzi, gdyż mogła jadać u siebie w numerze, nie stykając się z innymi gośćmi.

Uspokoiła się znacznie, męczące myśli i obawy stały się mniej dokuczliwe, a rozmyślania nad swą chorobą mniej częste.

Po trzech dniach takiego unikania ludzi zaczęła jej ciężyć samotność, a że i doktor zachęcał ją przyjaźnie, ażeby bywała u wspólnego stołu, zeszła na obiad.

Przyjęto ją z owacyjną przyjaźnią, a pani Łącka, ściskając jej rękę udzielała napomnień w tonie macierzyńskim:

— Jak można było, kuzynko, tak się zamykać na cztery spusty! Taka byłam niespokojna, że uprosiłam doktora, ażeby zaszedł do kuzynki.

— Dziękuję za łaskawą pamięć, ale przecież Ryta była u mnie i widziała, że nic mi nie brakuje.

— Ach, Ryta!? Na moje pytania odpowiedziała kilka ogólników i koniec; zresztą Ryta nie doktor i nie może nic radzić.

— Mówiono, — zbliżyła się pani Porecka, — że pani tak silnie odczuła rozstanie się z mężem, sądzę jednak, że to nie na długo. Obiecał nam swój powrót.

— Byłam cierpiąca i nie chciałam mącić harmonii, którą pani tak ceni, — uśmiechnęła się uprzejmie.

Do salonu, w którym rozmawiano przed obiadem, wszedł pan Jedliński, a obaczywszy panią Wandę zawołał wesoło:

— A, jest już nasza piękna pustelniczka! — uściskał podaną rękę, — stęskniliśmy się za panią i mieliśmy wysłać deputacyę do pani z prośbą o powrót do normalnego życia.

— Cieszy mnie, że oszczędziłam delegacyi trudu wchodzenia na trzecie piętro, — uśmiechnęła się.

Dano znak rozpoczęcia obiadu i wszyscy wchodzili do sali jadalnej. Pani Wanda zastała swe dawne miejsce zajęte, a nowe było pomiędzy paniami Łącką i Mniewską, a naprzeciw pana Jedlińskiego. Gdy usiedli przy stole, doktor zwracając się do pani Wandy, powiedział pół żartem:

— Cieszy mnie, że pani przyszła. Na drugi raz zdobędziemy twierdzę szturmem i sprowadzimy pomiędzy ludzi.

— Panie doktorze, — zawołał pan Jedliński, — ja będę kierował oblężeniem.

— Zdaje mi się, że pan już je rozpoczął, — uśmiechnął się doktor, — ale nie bardzo fortunnie, bo za wiele twierdz chce pan zdobyć.

Panie ze śmiechem przyjęły ten żart, a pani Porecka dodała sentencyonalnie:

— Skąpy dwa razy traci, a zachłanny wszystko.

— Całe szczęście, że ja się nie poczuwam ani do skąpstwa, ani do chciwości, — żartował pan Jedliński.

— Tak mówi każdy świętoszek, — odezwała się Madzia Porecka.

— Wiemy, wiemy, — zaśmiała się pani Łącka, — każdy z mężczyzn modli się pod figurą, a ma dyabła za skórą.

— Ja już się modliłem, — rzekł pan Jedliński, patrząc płomiennie na panią Wandę, — i będę się modlił do anioła, a on wypędzi wszystkich szatanów.

— Przysłowie mówi o figurze, nie o aniołach, — zrobiła uwagę pani Porecka tonem karcącym, — i gdyby pan się modlił pod figurą...

— Wyskoczyłby dyabeł za mną, — śmiał się pan Jedliński, — dobrze, zrobimy próbę. Pojedziemy do Jaszczurówki, tam jest przy drodze figura.

Panie przyjęły ten projekt chętnie i zaczęto się umawiać, kiedy i jak pojadą. Uradzono, że dzisiaj zaraz po obiedzie, bo mgły na wirchach zapowiadają zmianę pogody.

Pani Wanda, gdy weszła do salonu i doznała przyjaznego przyjęcia, uczuła się zdrowszą, silniejszą i prawie zapomniała o swych dolegliwościach, lecz po chwili zaczął ją męczyć gwar rozmowy i z gorzką zazdrością patrzała na ogólne ożywienie, wesołość, błyszczące spojrzenia. Dlaczego ja jedna jestem tak upośledzona, i nic mnie nie bawi, nie cieszy?

Dotychczas przy stole usługiwała jej w domu wyćwiczona służba przy współudziale męża i ciotki, tak że prócz podnoszenia łyżki i widelca nie trudziła się niczem. Teraz jednak musiała sama przysuwać sobie chleb, sól, nalewać wodę z winem, jednem słowem zachowywać się samodzielnie, jak zdrowy człowiek. Te ruchy, chociaż tak nieznaczne, męczyły ją, zdawało się jej, że wyciągnąwszy rękę po karafkę uczuje ból, ucisk i trudność oddychania. Ograniczyła się tedy tylko do ruchów koniecznych.

— Pani nie używa chleba? — spytała pani Mniewska przy potrawie z sosem.

Pani Wanda spojrzała na opodal leżący talerz z chlebem i bułkami, a wysiłek przysunięcia wydał się jej tak wielkim, że powiedziała:

— Wystarcza mi jarzyna.

To samo powtórzyło się mniej więcej z wodą i flaszką czerwonego wina. Dopiero pod koniec obiadu wezwała usługującą dziewczynę, ażeby jej nalała wody.

— Ależ z kuzynki wygodnisia, — zaśmiała się pani Łącka, — ma wodę przed sobą i każe drugim nalewać.

Zaczęto żartować i opowiadać zabawne przypadki na temat nieśmiałości i wydelikacenia, co było przykre dla pani Wandy i postanowiła nie żądać od nikogo żadnej przysługi.

Gdy rozmawiano o projektowanej sannie do Jaszczurówki, zwrócił się do niej pan Jedliński:

— Pani naturalnie jedzie z nami.

— Nie wiem, — powiedziała wahająco z obawy, że zaczną żartować z jej usuwania się od ludzi.

— Ależ nie można się tak kwasić w pokoju, — zawołał zgorszony; — powietrze górskie jest najlepszem lekarstwem, prawda, panie doktorze?

— To rzecz tak wiadoma, że nie potrzebuje potwierdzenia, — odpowiedział doktor, — i szczerze radzę pani oddychać niem na swobodzie, a nie w zacieśnionym numerze.

— Wobec rady doktora, wszelka opozycya ustaje, — zaśmiał się pan Jedliński, — i dość tego rozpadania się nad sobą, nad swymi smutkami i niedomaganiami, trzeba być dzielną, śmiałą, wesołą!

— Doskonała recepta, — śmiała się pani Łącka, — i kuzynce trzeba zadać trochę przymusu... Tak, tak, musimy cię wyrwać z rozpamiętywań nad sobą.

Inne panie nie szczędziły też doświadczonych rad i pani Wanda, jakkolwiek wewnątrz odczuwała niechęć, niemal wstręt do tej wycieczki, zasypana argumentami, uległa i zgodziła się na sannę.

Za towarzyszkę obrała sobie Rytę, a na koźle, obok furmana, ku niezadowoleniu pani Poreckiej, a pewnej zazdrości innych niewiast, usiadł pan Jedliński, który z niezwykłą starannością okrywał panią Wandę baranicą, pamiętał o pledzie, o zapięciu futerka i doradzał nałożenie woalki, ażeby wiatr nie zepsuł cudownej cery twarzy.



Okrywał panią Wandę baranicą.

Z podjazdu zakładu ruszyło pięć sań, a w przedostatnich siedziała pani Wanda zaniepokojona i zatrwożona, jak zniesie tę wycieczkę i czy nie rozchoruje się w drodze. Trochę otuchy dodawało jej towarzystwo Ryty, a niecierpliwiła i drażniła wesołość i żarty pana Jedlińskiego.

Konie w saniach pani Wandy były młode i rącze, a powożący góral liczył do dwudziestu lat.

Zaledwie wyjechano na gościniec, pan Jedliński w przystępie dobrego humoru zażartował z górala:

— Cóż wleczesz się, jak ze smołą?

— Ckni się wam na zadku, będziem na przodku, — i cmoknął na konie.

Sanie mknęły, pani Wanda pobladła i schwyciła rękę Ryty, szepcąc z trudem:

— Wolniej!... Męczy mnie!

Rycie ta szybka jazda, odgłosy dzwonków, tupot koni wydał się tak przyjemny, że odrzekła z uśmiechem:

— Droga szeroka, sanna doskonała, niema żadnej obawy.

Pani Wanda zacisnęła zęby, przymknęła oczy, ażeby nie widzieć, ale obawa była silniejsza od woli, spojrzała, a właśnie w tej chwili mijano wyprzedzające sanie, a siedzące w nich panie wołały:

— Do widzenia w Jaszczurówce!

— Pod górą ustaniecie!

— Czego tak pędzicie!?

Sanie wymijając pędziły tuż nad rowem, pani Wanda nerwowo chwyciła Rytę za ramię i przycisnęła się do niej szepcąc:

— O Boże, wywrócimy się!

— Uspokój się, już wyminęliśmy, — uśmiechnęła się Ryta.

— Ależ z pani bojaźliwe dzieciątko, — śmiał się pan Jedliński, — czyż panią, jak cesarzowę chińską, noszono zawsze w palankinie?

Te słowa obudziły energię pani Wandy i zmuszając się do spokoju, odpowiedziała:

— Nie noszono, ale dla pomysłu pana nie chcę złamać nogi lub ręki.

— To nie mój pomysł, lecz górala, czy nie tak, Staszku?

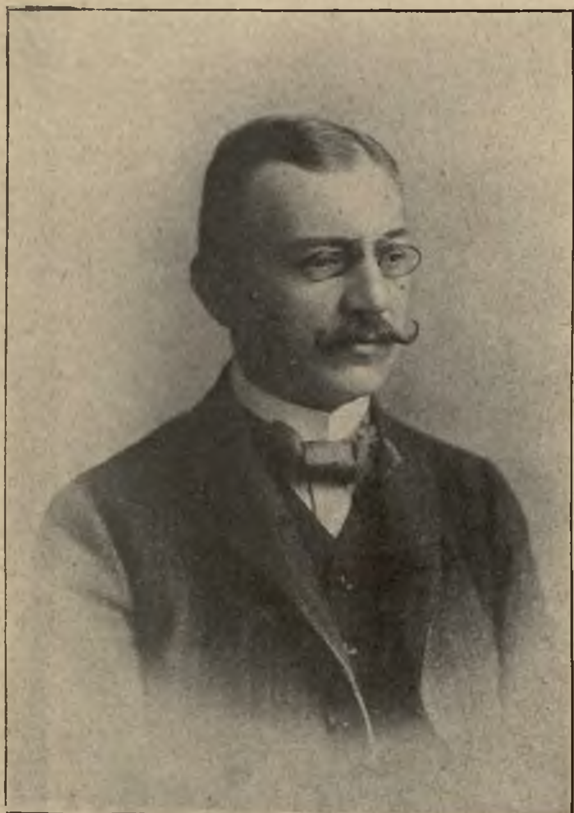
— A bez co nie? — zaśmiał się wesoło, — jak mówicie tak, to i jest tak, ja tam nie przeciwny wam.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dwudziestolecie Towarzystwa dziennikarzy polskich we Lwowie.

Minęło lat dwadzieścia od chwili, gdy grono dziennikarzy lwowskich powzięło myśl zrzeszenia się w obronie materyalnych i moralnych interesów zawodu, który częstokroć spotykał się w naszem społeczeństwie z objawami nieprzychylnymi i słowami krytyki, a steranym w żmudnej pracy bojownikom nie zapewniał na starość najskromniejszego bodaj utrzymania.

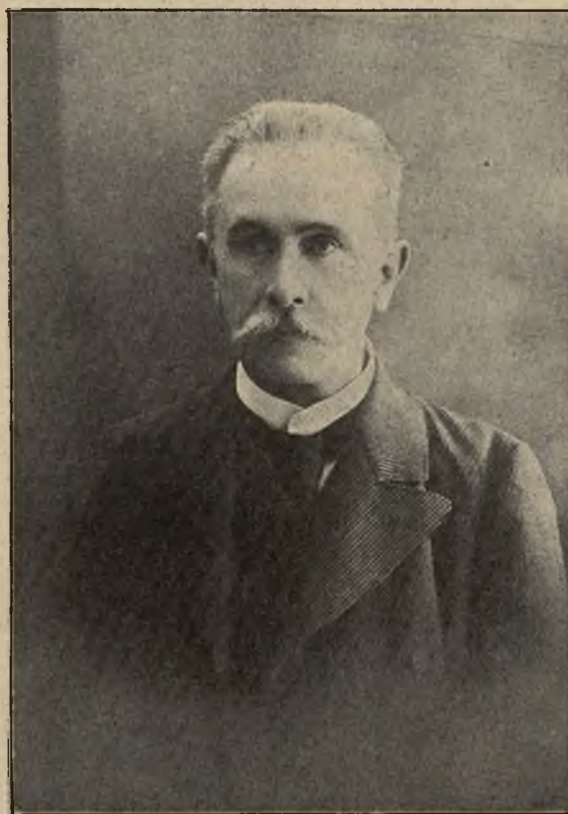
Omawiano piękące sprawy zrazu cicho, poufnie, by z kolei wepchnąć je na szerszą arenę rozważań



Dwudziestolecie Tow. dziennikarzy polskich we Lwowie: Skarbnik redaktor Al. Milski.

i obrad. Starzy, wytrawni dziennikarze sprzeciwili się kooperatywie, grożącej — ich zdaniem — obniżeniu się powagi dziennikarstwa, zatarciu wszelkich indywidualności i wybujałych niejednokrotnie talentów.

Na szczęście rychło dali się jednak przekonać i ujęli nawet ster nowej latorośli w swe doświadczone dłonie. Pierwsze prezydyum Towarzystwa tworzyli Teofil Merunowicz i ś. p. Adam Asnyk. Z kolei zasłużyli się wielce około rozwoju instytucyi dziennikarskiej i podniesienia stanu dziennikarskiego prezes ś. p. Liberat Zajączkowski i Adam Krechowiecki, oraz ich zastępcy: ś. p. Kazimierz Skrzyński, Michał Chyliński, Karol Kucharski, Franciszek Rawita-Gawroński i Michał Konopiński. Skarb-



Dwudziestolecie Tow. dziennikarzy polskich we Lwowie: Pierwszy prezes Teofil Merunowicz.

nikami, jakich Towarzystwu inne instytucye pozazdrościć mogą, byli Karol Kucharski i Wacław Masłowski, a nie ustępuje im ani na włos obecny dzierżyciel skarbu dziennikarskiego, niestrudzony Aleksander Milski. Jako sekretarze położyli niezapomniane zasługi ś. p. Stanisław Schnürr-Pepłowski i dr. Kazimierz Ostaszewski-Barański, którego w ciągu ostatnich dwu lat zastępował z wielką gorliwością Michał Rolle.

Kooperatywa dziennikarska odniosła tryumf nieoczekiwany: po latach dwudziestu zabiegów kolejno u steru postawionych wydziałów, fundusz żelazny Towarzystwa dobiega kwoty 400.000 koron; dziesięć wdów pobiera pensye; ciosem jakimś lub chorobą dotknięty dziennikarz otrzymuje zapomogę.

Indywidualności zrzeszenie się dziennikarzy nie starło, talentów pod jeden wspólny strychulec nie podciągnęło, stan dziennikarski podniosło w opinii ogółu, a mimo gorące walki i starcia na szpaltach poszczególnych stronnictw, wydział Towarzystwa, złożony z ludzi, reprezentujących wszelkie odłamy polityczne prasy polskiej, zebrawszy się przy wspólnym stole, zapomina o waśniach partyjnych i bezstronnie, trzymając się ściśle paragrafów statutu, rządzi poważną już dziś instytucyą.

W ciągu lat dwudziestu nie wpłynęła ani jedna skarga na stronniczość — to podkreślić należy bardzo dobitnie.

Dzisiaj, w dniu święta prasy polskiej, przewodniczy jej redaktor *Gazety Lwowskiej* Adam Krechowiecki, którego zastępcami są radca Wydziału krajowego Karol Kucharski i redaktor *Nowej Reformy* Michał Konopiński.



Dwudziestolecie Tow. dziennikarzy polskich we Lwowie: Zastępca sekretarza Michał Rolle.

W przeszłość patrzeć może dziennikarstwo polskie z zadowoleniem spełnionego obowiązku; w przyszłość — z nadzieją dalszego pomyślnego rozwoju.

Dla podniesienia przemysłu domowego.

W niezmordowanej i ciągłej działalności Ligi Pomocy przemysłowej około pobudzenia inicyatywy



Dla podniesienia przemysłu domowego: Wycieczka uczestniczek kursu plecionnictwa we Lwowie. (Fot. M. Münz, Lwów).



Koniec strejku w Belgii: Przed domem ludowym w Brukseli.

i twórczości przemysłowej w Galicyi odgrywa Seminaryum przemysłu domowego i urządzane w niem kursy zawodowe ważną bardzo rolę.



Koniec strejku w Belgii: Demonstracya strejkujących robotników w Brukseli.

Po szeregu urządzonych już kursów z różnych gałęzi przemysłu kobiecego, nastąpił obecnie odbywający się kurs wyrobu pletni i szycia kapeluszy słomkowych, który otwarty 1 kwietnia, potrwa do końca maja b. r.

Chcąc uczestniczkom kursu przedstawić obrazowo sposób fabrycznej produkcyi kapeluszy filcowych i słomkowych, urządziła Liga Pomocy przemysłowej wycieczkę do fabryki kapeluszy firmy Neuwelt we Lwowie — gdzie uczestniczki miały możność przypatrzenia się sposobowi wykonywania różnych rodzajów kapeluszy.

Tę właśnie wycieczkę przedstawia nasza illustracya.

Koniec strejku w Belgii.

Wielki strejk powszechny, proklamowany w Belgii za powszechnem prawem głosowania, można uważać już za zakończony. Strejkujący nie odnieśli wprawdzie zupełnego zwycięstwa, ale rząd pod naciskiem mas strejkujących zrobił tyle, że zobowiązał się w parlamencie zamianować komisyę, która podejmie studya nad reformą ordynacyi wyborczej dla gmin i prowincyi. W razie gdyby komisya



Polska za Oceanem: Parafianie przed polskim kościołem w Rio Claro w Paranie.

doszła do przekonania, że jest lepszy sposób przeprowadzania głosowania niż obecny, rząd opracuje odnośną ustawę i przedłoży ją Izbie.

Na tej podstawie odbyło się zgromadzenie przeszło 1000 delegatów partyi socyalno-demokratycznej, które większością dwóch trzecich głosów przyjęło wniosek o utworzenie komitetu narodowego dla powszechnego prawa głosowania i przystąpienia do pracy. Pomimo, iż strejk w Belgii nie trwał długo, pociągnął za sobą olbrzymie dla kraju straty, wynoszące według przybliżonego obliczenia około 140 milionów franków, które stracili zarówno przedsiębiorcy, jak i robotnicy.

Świadczy to, jak rujnującą dla obu stron jest walka strejkowa. To też w krajach z uregulowanymi stosunkami społecznymi i prawnymi, strejk jeneralny staje się zjawiskiem coraz rzadszem.



Polska za Oceanem: Parafianie kościoła polskiego w Rio Grande do Sul w Paranie.



Polska za Oceanem: Szkoła polska w kolonii Abranches w Paranie.

Polska za Oceanem.

Warunki ekonomiczne zmuszają, niestety, liczne rzesze ludu polskiego do szukania zarobków i chleba za Oceanem. Ten ciągły odpływ polskich emigrantów utworzył już liczne kolonie w Ameryce, stanowiące t. zw. „czwartą dzielnicę Polski"... Gdy w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki, gdzie



Polska za Oceanem: Indyanka z Parany.

emigruje przeważnie ludność w poszkiwaniu zarobków w przedsiębiorstwach przemysłowych, mamy olbrzymie kolonie w miastach, tworzące całe dzielnice o charakterze polskim, wychodźtwo do Ameryki południowej (przeważnie do Brazylii) ma charakter osadniczo-rolniczy... Tam zostały też skolonizowane przez wychodźców polskich olbrzymie przestrzenie kraju.

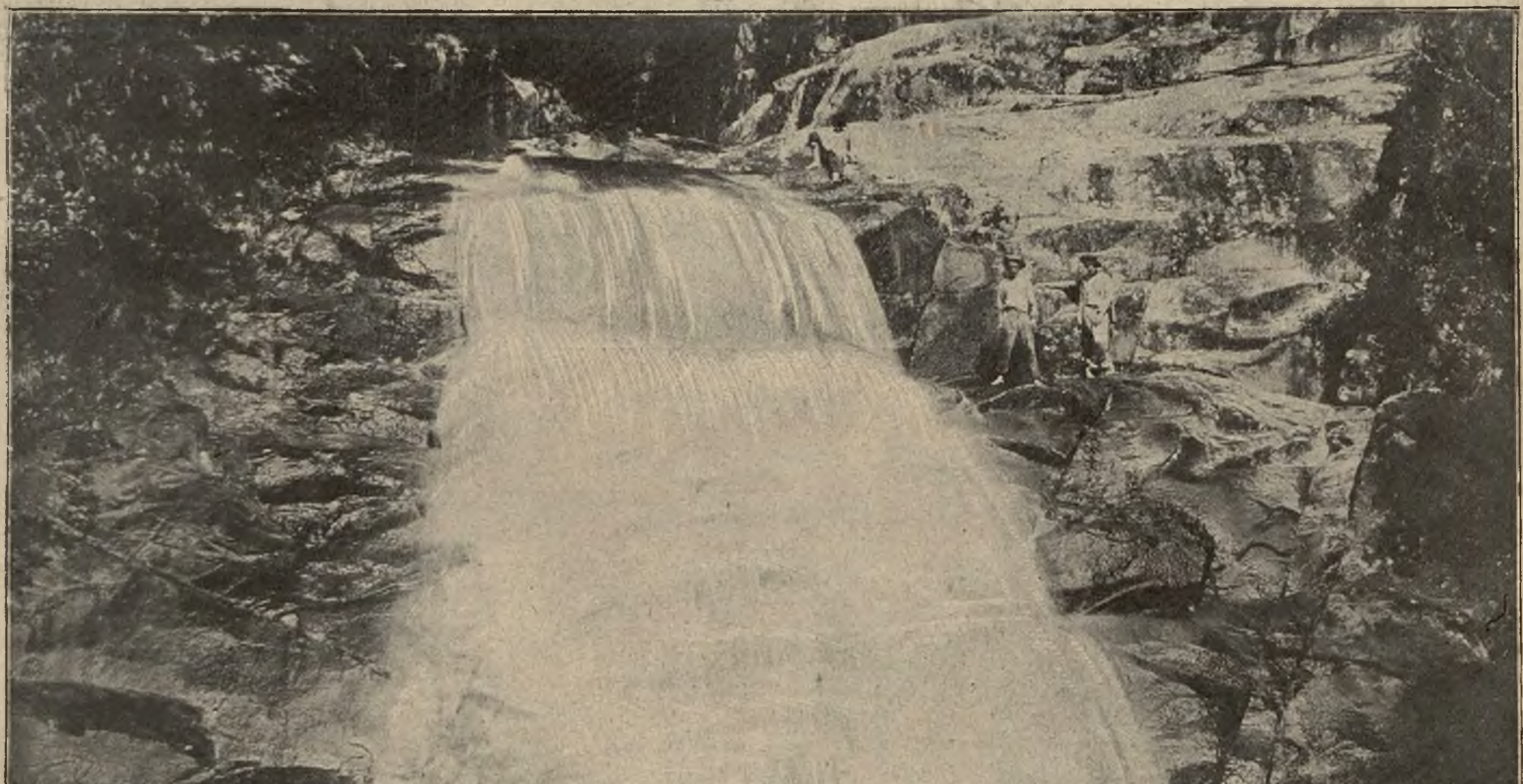


Polska za Oceanem: Indyanie w Paranie.

Brazylijski stan Parana, gdzie ogniskuje się wychodztwo polskie, jest równy obszarem prawie całej Polsce, a posiada zaledwie 380 tysięcy mieszkańców, z czego blizko połowa to przychodźcy. Wśród nich jest około 150.000 polskich osadników, zagospodarowanych na koloniach.

Każda kolonia stoi pod kierownictwem t. zw. dyrektora, który dla robót pomiarowych i administracyjnych ma sobie dodaną komisyę, złożoną z inżynierów. W kolonii znajduje się zwykle lekarz i apteka, czasami tłómacz, zawsze poczta i telegraf, a nawet telefon. Wygląd kolonii jest zawsze ten sam. Ze środka, gdzie znajduje się kościół. szkoła, dyrekcya i t. d., biegną proste ulice, wzdłuż których wymierza się działy o 250-metrowym froncie i buduje się domy.

Zanim te ostatnie staną, umieszcza się przychodźców nie, jak dawniej, w barakach, ale w małych szałasach drewnianych. Działy mierzące 25 – 50 ha sprzedaje się albo za gotówkę, albo też na raty, z których pierwsza płatną jest trzy lata po przybyciu osadnika. Przybyłym udziela się bezpłatnie na-



Polska za Oceanem: Wodospad na rzece Ijucha w Paranie.



Polska za Oceanem: Grupa cywilizowanych Indyan w Paranie.



Polska za Oceanem: Transportowanie na mułach maszyn Singera z Caxias do Porto-Alegre. (X) Krakowianim p. Antoni Sapalski, dyrektor firmy Singera w Caxias.

rzędzi rolniczych, nasion i środków żywności aż do żniwa, ale tylko wtedy, o ile odrabiają przez trzy dni w tygodniu szarwark przy budowie dróg i gościńców.

W koloniach tych domy są drewniane, ziemia pokryta jest w znacznej części dziewiczym lasem, stopniowo karczowanym, płodozmian i nawożenie są nieznane. Kolonie zakłada rząd oraz „Brasil Railway Cie", towarzystwo posiadające monopol budowy kolei w całej Brazylii. Założyło ono dotychczas tylko jedną, „Nową Galicyę", ale założy ich bezwątpienia więcej, bo posiada wzdłuż swych linii około 4,000 000 ha ziemi. Warunki w koloniach „Brasil Railway Cie" są dosyć korzystne, bo chociaż działy są nieco droższe, to łatwość komunika-

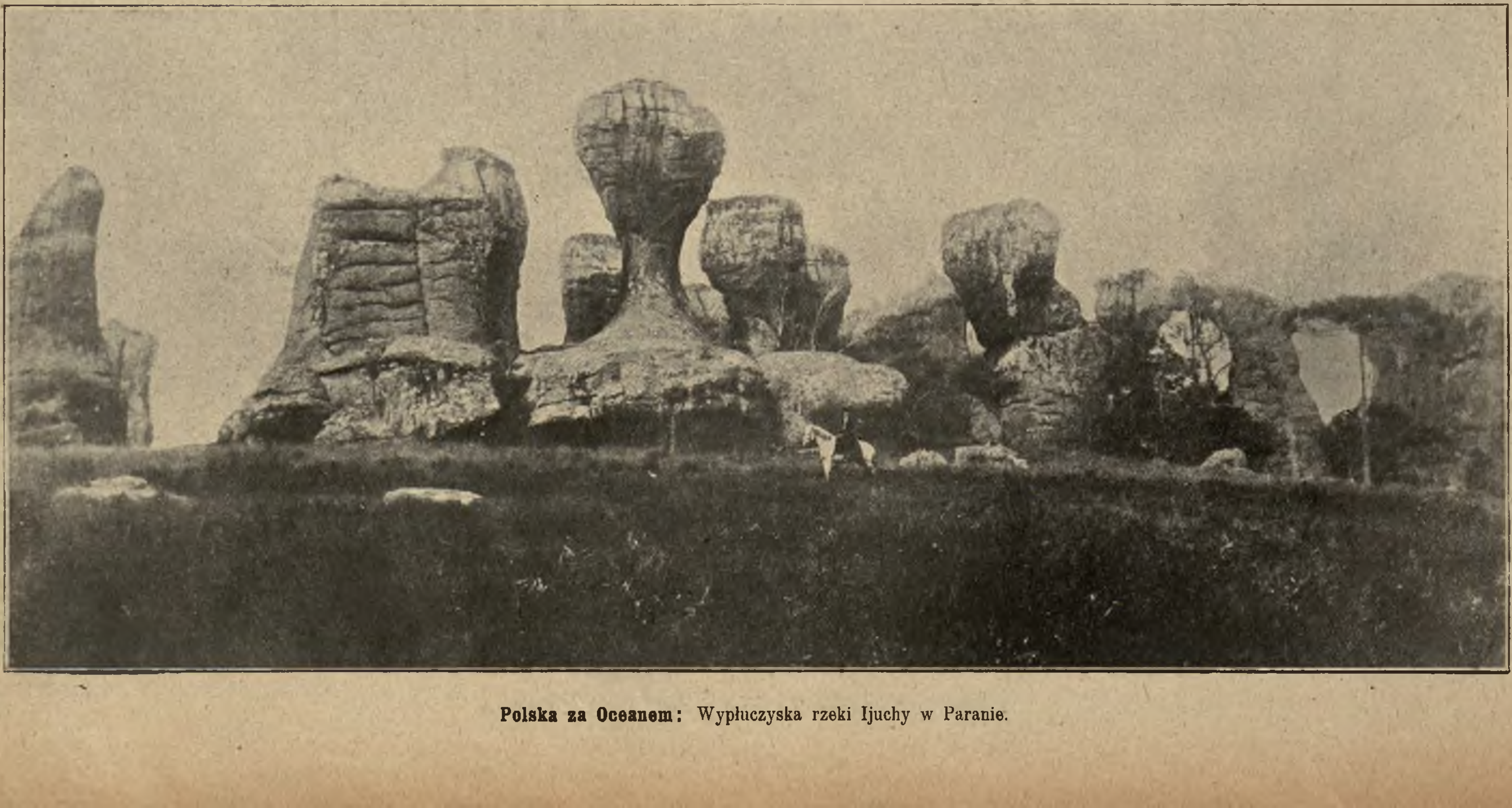


Nowy arcybiskup wiedeński: Ks. arcybiskup Fryderyk Piffl.

cyi wynagradza wyższą cenę ziemi. Pozatem wszelkie produkty rolne i drzewo odkupuje towarzystwo po bardzo dobrych cenach.

O stosunkach gospodarczych w Paranie da się ogółem powiedzieć, że chociaż Parana nie jest owem Eldorado, za jakie często uchodzi, to jednak pracowity osadnik może nietylko żyć w spokojnem posiadaniu skrawka gruntu, ale może przy sprzyjających okolicznościach dojść w stosunkowo krótkim czasie do dobrobytu.

Największe kolonie polskie leżą w pobliżu Kurytyby, głównego miasta stanu Parana. W mieście tem znajduje się też sporo inteligencyi polskiej i wychodzą dwa czasopisma polskie. W Caxias dyrektorem znanej firmy Singera jest Polak, Krakowianin, p. Antoni Sapalski, który nadesłał nam zamieszczone w dzisiejszym numerze interesujące zdjęcia z Parany.



Polska za Oceanem: Wypłuczyska rzeki Ijuchy w Paranie.

CLARK RUSSELL.

W ODMĘTACH OCEANU.

7

Słaby pas świetlany na wschodnim horyzoncie zapowiedział, że dzień się zbliża. Morze przybrało kolor szaro-zielony i odcinało się ostro na horyzoncie. Wydrapałem się na jedną z ławek i patrzyłem dookoła. Obok mnie stanęła Helga. Jak niedawno na tratwie, tak teraz tutaj, wspólnie przeszukiwaliśmy wzrokiem ogromne przestrzenie wód, z cichą nadzieją w sercu. Niestety! morze dokoła było puste.

— Nic nie widać, panie? — zapytał Abraham z dołu.

— Nie! — odpowiedziałem, zeskakując z ławki.

— No, mamy jeszcze cały dzień przed sobą — pocieszał Jakób.

Wschodził dzień, rozjaśniając coraz bardziej wszystko wkoło nas. Przypatrzyłem się teraz dokładnie mojej towarzyszce i nowym opiekunom. Na twarzy Helgi przejścia ostatnich godzin pozostawiły głębokie ślady. Powieki miała zaczerwienione i opuchnięte, a zapłakane oczy otaczały ciemne koła. W chwili, gdy nasze spojrzenia się spotkały, po twarzyczce jej przebiegł lekki przyjazny uśmiech, jak błysk słońca.

Ten marynarz, którego towarzysze nazywali Abrahamem, był typem angielskiego majtka. Ubrany był w grube mocne ubranie sukienne. Na głowie nosił szeroki kapelusz o wielkich krysach, jak bandyta teatralny. Twarz jego tchnęła odwagą, spoglądało z niej dwoje ostrych czarnych oczu. Uzupełnienie całości stanowiły długie i grube uszy, w których tkwiły dwa małe kółka, oraz ruda, gęsta broda.

Jednak i Jakób w całej swej postaci mógł uchodzić za wzór dealskiego marynarza. Twarz miał szeroką, pokrytą piegami. Wyzierały z niej oczy zadowolone, jednak o smutnym wyrazie. Wskazywało to na fakt, iż właściciel ich w rodzinnej wiosce nie omijał szynkowni portowych.

W postaci całej przebijał się wyraz spokojnej wesołości, który podnosiły jeszcze dwa rzędy białych zębów, nadających twarzy jego zawsze uśmiechnięty wyraz. Ubrany był w wysokie buty marynarskie. grube łosiowe spodnie, żółtą bluzkę i futrzaną czapkę, którą naciągnął tak głęboko na głowę, że widać było tylko odstające uszy.

Ponieważ trzeci towarzysz, zwany Tomaszem albo Tomem, jeszcze nie ukazał się na pokładzie, początkowo powoli oglądać sam statek.

Zrozumiałem teraz dumę jego załogi, albowiem „Jutrzenka" przedstawiała się doskonale. Był to wzorowy statek przybrzeżny, który na spokojnych wodach zatoki mógł oddawać doskonałe usługi. Puszczać się jednak w nim w podróż do Australii wydawało mi się czemś tak niezwykłem, że ciągle jeszcze kręciłem nad tem głową. Z niepokojem wyobrażałem sobie, jak zdołamy utrzymać się, gdy spotkamy się z burzą morską. Kiedy jednak przypomniałem sobie straszne chwile, spędzone na tratwie i spojrzałem na dzielną moją towarzyszkę, zawstydziłem się brakiem u mnie męzkiej odwagi.

— Pani strasznie podle wygląda — odezwał się Abraham, który od chwili już obserwował Helgę. — Przypuszczam, że pani powoli przyjdzie do siebie.

— Straszne chwile przebywaliśmy, to nic dziwnego — odpowiedziało młode dziewczę z prostotą.

— Tak — zawołałem — i żadna inna kobieta nie byłaby tych strasznych chwil tak przebyła, jak ty. Pani ta — zwróciłem się do marynarzy — przewyższa przytomnością umysłu, wiadomościami marynarskiemi i odwagą niejednego doświadczonego żeglarza w Anglii.

Jakób słuchał mnie z podziwem. Nagle twarz jego przybrała wyraz miłej niespodzianki i uderzył się tak silnie w udo, że strzeliło, jakby z pistoletu.

— Holla! — wykrzyknął — teraz wiem już z całą pewnością! Czy pani nie była kiedy chłopcem?

— Cóż ty za głupstwa wygadujesz? — reflektował go Abraham.

— Ja się tylko pytam, czy pani nie nosiła kiedy sukni męskich? — poprawił się Jakób.

— Owszem — odpowiedziałem — cóż to jednak ma znaczyć?

Jakób potężną swą prawicą uderzył się w odpowiedzi ponownie w udo!

— W takim razie „świniopas" Hall winien mi ósemkę piwa! — wykrzyknął tryumfująć. — Kiedy byliśmy ongiś na Duńczyku, widziałem tam na pokładzie chłopca, o którym zaraz powiedziałem: „Ten jest tak samo chłopcem, jak proboszcza Mina". Spostrzeżeniem tem podzieliłem się z Hallem, który jednak obraził mnie, twierdząc, że chyba za głęboko zajrzałem do kieliszka. Założyłem się z nim wtedy o ósemkę piwa, nie mieliśmy jednak już potem sposobności, aby przekonać się, kto z nas miał racyę. Potem zapomnieliśmy o całej sprawie. Oto teraz okazuje się, że wygrałem zakład. Abrahamie, jesteś świadkiem, aby mi „świniopas" Hall nie zaprzeczył.

Helga w czasie tego długiego monologu zarumieniła się silnie. Chcąc jej pomódz z przykrej sytuacyi, zapytałem.

— O kim używacie wy ciągle tak oryginalnych nazwisk?

O my wszyscy w domu mamy przezwiska — objaśniał Abraham. — Oprócz „świniopasa" Halla jest jeszcze „kołnierz papierowy" Joe, który zawsze nosi jakąś szmatę na karku, „pick" Adams, który ma nos bardzo śpiczasty i wierci nim przed sobą dziury w powietrzu. Tutaj na pokładzie „Jutrzenki" nazywamy się naszemi własnemi imionami.

— Jak więc się nazywacie?

— Abraham Wise.

— A wasi towarzysze?

— Jakób Minikin i Tomasz Budd. Jakóbie — zwrócił się do swego towarzysza — jeśliby ta panienka miała dzisiaj jeszcze u nas nocować, opróżnimy dla niej kajutę. My mężczyźni możemy przespać się równie dobrze na pokładzie.

Wskazał ręką na szeroki pas pokładu, ocieniony wystającym dachem kajuty.

— Ta dama musi jednak mieć odpowiednie miejsce do spoczynku. Wygląda przecież tak, jakby trzeba jej było przynajmniej dwadzieścia cztery godziny snu na wypoczynek.

Tymczasem ukazał się na pokładzie trzeci marynarz. Przetarł zaspane oczy i obrzucił Helgę i mnie tak obojętnym wzrokiem, jak gdybyśmy oboje byli na „Jutrzence" stałymi pasażerami. Rozejrzawszy się po morzu, skinął flegmatycznie głową swym towarzyszom.

— Ładna porcya wiatru dzisiaj, co?

Tomasz Budd liczył około czterdziestu pięciu lat. Zaciśnięte usta i głęboko osadzone, zaczerwienione oczy, nad któremi zwieszały się krzaczaste brwi, nadawały mu wygląd zamkniętego w sobie człowieka.

Podobnie jak Jakób ubrany był w czapkę, zato jako ubranie miał na sobie długi surdut, taki jaki zwykle noszą duchowni. Z pod długich poł tego, bądź co bądź dla marynarza bardzo oryginalnego ubioru, wyglądała para ciemnych, szerokich spodni i wielkich łatanych butów.

— Co słychać ze śniadaniem? — zapytał. — Czas może już rozpalić ogień?

— Owszem, owszem — przytaknął Abraham. — Sądzę, że wszyscy zgodzimy się na to, aby spożyć coś ciepłego.

Z dziwnym grymasem niezadowolenia zabrał się Tomasz do rozpalenia ognia. Przygotował najpierw stos drzewa, a następnie rozniecił ogień na palenisku, przymocowanem łańcuchami na środku pokładu.

— W naszych zapasach posiadamy kilka ładnych szynek — odezwałem się. — Także konserwy nasze są bardzo dobre. Pozwólcie mi tymczasem skorzystać z wolnej chwili przed śniadaniem i obejrzeć kajutę.

— Ależ ma się rozumieć — odpowiedział Abraham.

W towarzystwie Helgi wsunąłem się na czworakach do nizkiej, słabo oświetlonej izdebki, w której można było stać tylko silnie pochylonym. Po bokach pod ścianami znajdowały się cztery łóżka okrętowe, które zarazem służyły jako siedzenia i jako skład na rzeczy. Nie było zaś innego posłania, prócz kupy desek.

— Prawdziwy salon pierwszej klasy — zawołałem, śmiejąc się.

— W każdym razie lepszy, niż nasza tratwa — odpowiedziała Helga.

— Zapewne. Przypuszczam jednak, że nie będzie pani za nią tęskniła, gdy znajdziemy się szczęśliwie na innym okręcie. W takim kurniku nie mogłaby chyba pani nawet usnąć!

— O! dlaczego nie! — odpowiedziała pojednawczo. — Prawdopodobnie jednak nie będzie to potrzebnem, gdyż mam nadzieję, że przed zapadnięciem nocy znajdziemy się już na innym statku, który powiezie nas z powrotem do domu — to jest do pańskiego domu — poprawiła z westchnieniem.

— Który będzie tak długo pani domem, jak długo pani zechce — oświadczyłem serdecznie.

— Zobaczmyż teraz, jakie przybory toaletowe mają nasi przyjaciele. Wiele tego zapewne nie będzie, gdyż ich miednicą jest prawdopodobnie ocean. Niech pani tu zaczeka, Helgo, pójdę i zobaczę, co da się zdobyć.

— Czy nie macie kawałka płótna z żagli, któryby można obrócić na ręcznik? — zapytałem Abrahama, wychodząc na pokład.

— Płótna z żagli — zawołał oburzony. — Mamy przecież ręczniki. Czy pan chce kawałek mydła?

— Jakto? — pytam z niedowierzaniem — to macie i mydło?

— Panie, za kogo nas pan właściwie uważa? brzmiała odpowiedź, w bardzo obrażonym tonie — jakżeż można się golić bez mydła?

Zdumienie zamknęło mi usta. Spotęgowało się jeszcze bardziej, kiedy po chwili Abraham doręczył mi oprócz mydła i ręcznika także małe lusterko i składany grzebień metalowy, oraz ofiarował się pożyczyć brzytwę. Tej ostatniej na szczęście nie potrzebowałem, gdyż nosiłem brodę. Powróciłem, obładowany zdobyczą, do Helgi.

— Oto ma pani wszystko, o czem tylko zamarzyć można — wołałem już zdaleka. — Nasi wybawcy, to doskonali modnisie; golą się nawet.

Oddawszy przyniesione skarby, pozostawiłem Helgę samą i powróciłem do marynarzy. Jakób i Tomasz pracowali pilnie nad przyrządzeniem śniadania, zaś Abraham kierował sterem.

— Pan nie powiedział nam jeszcze dotychczas, jak się pan właściwie nazywa — zwrócił się do mnie.

— Hugo Tregarthen.

— Dziękuję. A ta panienka?

— Helga Nilsen.

— Dzielna dziewucha! — przytaknęł Abraham z zadowoleniem. — Cieszę się z całego serca, że mogliśmy przyjść wam z pomocą, panie Tregarthen. Nie bylibyście się mogli długo utrzymać na tratwie. Wiatr znowu się wzmaga.

— I odwrócił się znowu, o ile mi się zdaje — rzekłem, spoglądając na mały kompas.

— Tak, przeskoczył na północ, potwierdził Abraham. — Uspakaja to moje sumienie, gdyż zacząłem sobie robić wyrzuty, że nie chciałem was wysadzić na ląd. Jeśli spotkamy jakiś parowiec, płynący do Anglii, dostaniecie się tam znacznie prędzej, aniżeli mybyśmy obecnie dopłynęli, zmuszeni żeglować przeciw wiatrowi.

— Zawdzięczamy wam nasze życie — oświadczyłem, ujęty tą serdecznością — nie mamy też prawa robić wam jakichkolwiek wymówek lub stawiać warunków i domagać się, abyście nam swój czas poświęcali.

Ciągle na południe.

Usłyszałem za sobą kroki. Obróciłem się i ujrzałem Helgę, która właśnie opuściła kajutę. Z podziwem przyglądał się jej Abraham, jak krokiem pewnym i wdzięcznym spieszyła ku nam.

— Jakby urodzona na barce — szepnął do mnie zcicha.

I ja także patrzyłem na Helgę obecnie cokolwiek innemi oczyma. Strój chłopca zatracał przedtem jej zgrabne kształty, które obecnie w sukni kobiecej przedstawiały się bardzo wdzięcznie. Na „Aninie", a potem na tratwie nie miałem ani czasu, ani głowy na podobne obserwacye. Teraz jednak napawałem oczy widokiem jej wdzięcznej postaci, ładnej twarzyczki, której przybladłe policzki ubarwiła lekko zimna woda morska, oraz zachwycałem się drogim, dzielnym uśmiechem, który igrał na jej ustach.

Doszła do nas i usiadła obok mnie.

Pierwsze nasze śniadanie na „Jutrzence" pozostanie dla mnie zawsze jednem z najmilszych wspomnień. Plastry szynki, przypiekające się w rynce, roztaczały dookoła zachęcający zapach. Przed nami ustawił Tomasz otwarty wór z sucharami, do którego sięgaliśmy raz po raz. Zagryzaliśmy zaś nimi gorącą czarną kawę, którą podano nam w grubych filiżankach kamionkowych.

Poważnie i z zapałem, jak na prawdziwych marynarzy przystało, zabrali się nasi wybawcy do spożywania tej lukulusowej uczty. Pomagali sobie dużymi, składanymi nożami. Przyjaciel Tomasz zajadał przy sterze, który zręcznie obsługiwał łokciami i ramionami, tak iż nie przeszkadzało mu to bynajmniej w spożywaniu śniadania.

Nie dałem się i ja pozostawić w tyle przy tej uczcie i z całym zapałem zabrałem się do mięsiwa, głodny bowiem byłem jak wilk. Z radością spostrzegłem, że i Helga, która od śmierci ojca prawie nic w ustach nie miała, nie dała się tym razem prosić.

Gdyśmy się tak posilali i przypijali, wiatr znowu zaczął się wzmagać. Silnie naciągnął się nad nami górny żagiel i pod naciskiem wiatru przód naszego statku zaczął zanurzać się w wodzie. Także fale zaczęły się silniej pienić.

— Czyż przy takim wietrze tak trudno będzie nam się dostać do Australii? — zawołał Abraham, spoglądając z zadowoleniem na napięty żagiel. Puścił zarazem wielki kłąb dymu z swej krótkiej fajeczki.

— Waryacki pomysł kupić sobie angielską łódź żaglową dla zatoki w Sidney — mruknąłem półgłosem.

— Zapewne — odpowiedział Abraham. — Przyzna pan jednak, że takie waryactwa są złotym interesem dla takich, jak my, biednych dyabłów.

Rozejrzałem się po morzu i dostrzegłem w oddali na horyzoncie ukazujący się żagiel, który jednak płynął w tym samym, co my, kierunku.

— Ma się rozumieć — westchnąłem rozczarowany. — To zawsze tak bywa, że jeśli człowiek jest w nieszczęściu, to mu się nic nie wiedzie. W jakim kierunku płyniemy obecnie? — zwróciłem się do Abrahama, aby przekonać się, czy wogóle możemy mieć nadzieję spotkania jakiego parowca, płynącego do Anglii.

— Obecnie płyniemy w kierunku południowo-zachodnim — brzmiała odpowiedź — następnie popłyniemy w kierunku wschodnio-północnym aż do dwudziestego pierwszego stopnia, poczem znowu obrócimy na południe, kierując się ku zachodowi w kierunku wyspy Trinidad; stąd popłyniemy na południowy wschód do Przylądka Dobrej Nadziei. Czy pan zna się na żeglarstwie, Mr. Tregarthen?

— Nie — odparłem. Mimowoli jednak kręciłem głową, mimo mego niedoświadczenia w dziedzinie żeglarstwa, wobec tej bezgranicznej naiwności, z jaką ten stary wilk morski mówił o podróży do Australii. Byłem zdumiony do najwyższych granic.

— Ale czytać pan umie? — spytał mój towarzysz, przyczem z pudełka, w którem przedtem chował przybory toaletowe, dobył małą mapę, którą rozłożył na kolanach.

— Owszem, trochę umiem czytać — odpowiedziałem skromnie, a Helga wybuchnęła śmiechem.

— No, to dobrze; niechże pan tu popatrzy — wskazał Abraham palcem na kartę — tutaj kapitan Samuel Brown z „Turka“ wykreślił mi cały plan podróży, jak wyruszyliśmy z portu. gdzie przypadkowo stał na kotwicy.

Pochyliłem się nad kartą i spostrzegłem, że wykreślona droga prowadziła na zachód od Madery. Przeważnie jednak omijała wszelkie porty. Ponieważ Jakób i Tomasz patrzyli na mnie z natężoną uwagą, wstrzymałem się od wszelkiej krytyki i w duchu życzyłem sobie tylko, aby szczęśliwy przypadek dozwolił nam jak najprędzej zakończyć tę bezcelową podróż na „Jutrzence“. Te pięć, czy sześć miesięcy, które sobie dzielni marynarze na podróż wyznaczyli, było tylko częścią czasu, jaki z pewnością miał upłynąć, zanim staną w Sidney. Należało bowiem brać pod uwagę wielkie trudności, na jakie musiał być narażony ten mały, do takich podróży zupełnie nieodpowiedni okręt, zwłaszcza w czasie burzy lub ciszy morskiej.

— Jak podzieliliście straż między siebie? — spytałem wkońcu.

— Jeden z nas śpi cztery godziny, gdy dwaj drudzy pełnią straż i co dwie godziny przy sterze się zmieniają.

— Wypada więc na każdego ośm godzin straży, a cztery godziny snu — zauważyła Helga.

— Tak jest właśnie, proszę pani.

— To za bardzo wyczerpujące — potrząsnęła główką. — Powinna być jeszcze jedna para rąk na pokładzie, aby straż zmieniona być mogła co cztery godziny...

— A udział w zyskach jeszcze się zmniejszył! — wpadł jej Tomasz oburzony w słowa.

— Mr. Tregarthen powiedział wam zapewne, że ja znam się dobrze na sterowaniu — zwróciła się Helga do Abrahama. — Na statku ojca bardzo często prowadziłam ster. Pozwólcie mi objąć jedną straż.

— A i ja w czasie mego pobytu na pokładzie chciałbym być wam użytecznym — przyłączyłem się do propozycyi Helgi.

Z głęboką czcią i uznaniem spojrzał stary niedźwiedź morski w oczy młodej dziewczynie.

— Niech Bóg błogosławi twe dobre serce, pani — rzekł. — Nie wątpię, że na każdym innym okręcie stanęłabyś doskonale za marynarza. Aby kierować łodzią żaglową, na to trzeba długoletniego doświadczenia. My starzy Dealczycy wprawiamy się do tego prawie od urodzenia, a...

— ...A jeśliby przy tej długiej podróży zapłata za nią miała iść do podziału na jeszcze mniejsze części, to sądzę lepiej odrazu zawróćmy — zawołał praktyczny Tomasz.

— Zawsze tylko o pieniądzach myślisz — zganił go ostro Abraham. — Pani nie myśli wcale o tem, aby ci ukrócać twoją część. Czyni swą propozycyę z czystej przyjaźni. Dziękuję pani z całego serca — zwrócił się z uprzejmym ukłonem do mojej towarzyszki — muszę jednak zastrzedz się, że pani jest u nas pasażerką, która uległa rozbiciu. Pani obowiązki streszczają się w tem, aby pani była dobrej myśli i głowę trzymała do góry.

Podziękowałem mu; powstałem następnie, aby przypatrzeć się nadjeżdżającemu statkowi.

— Helgo — szepnąłem — czy chcesz, abyśmy przenieśli się na tamten statek?



Pochyliłem się nad kartą...

— Przecież on nie płynie ku Anglii, Hugh?

— Ten żaglowiec jednak także nie. A o ileż lepiej czułaby się pani na pokładzie porządnego statku, niż tu, na tej marnej łupinie.

Wszystko jedno — oświadczyła Helga po chwili namysłu. — Zato tutaj mamy większe widoki, że wnet powrócimy do domu, a tak, to te widoki by się znacznie pogorszyły. Z każdą godziną rosłaby przestrzeń, dzieląca nas od kraju, a mile między nami a Anglią mnożyłyby się szybko.

— Pani ma racyę, Helgo!

Obcy statek zbliżał się coraz bardziej. Jasne jego boki, piramida wzdętych żagli i majestatyczna piana, tocząca się za statkiem, przedstawiała wspaniały widok. Helga patrzyła nań błyszczącemi oczyma.

Abraham udał się na spoczynek. Ster obsługiwał mruczący Tomasz, nie troszcząc się o nic wokoło siebie. Jakób oparł się o burtę, leniwie obserwując zbliżający się statek. Nagle ożywił się ogromnie.

— He, Tomasz — zawołał na swego towarzysza — niech mnie dyabli wezmą, jeśli to nie jest „Termopila“.

Niechętnie zwrócił zawołany głowę.

— Ma się rozumieć, że to „Termopila“ — mruknął zły. — Przecież to widać na pierwszy rzut oka.

— Co? „Termopila“? — zapytałem teraz z kolei zainteresowany. — Czy ma to być ów sławny statek z Aberdeen?

— Tak jest — zawołał Jakób rozpromieniony. — To on! Patrz pan tylko, jaka to piękność. Szczyty jej masztów sięgają aż pod gwiazdy i burzą ich układ. A jak pędzi doskonale!

Rozbawieni, słuchaliśmy tych przesadzonych pochwał, statek zaś zbliżał się powoli, aż wreszcie był już tak blizko, że mogliśmy rozróżnić twarze ludzi z załogi, uwijających się po pokładzie.

Z rozmachem skoczył Jakób na ławkę przy sterze i począł krzyczeć, wymachując przy tem, jak wiatrak, rękami. Chciał on w ten sposób zwrócić na siebie uwagę mężczyzny, który patrzył na nas z górnego pokładu „Termopili“.

— Jak się pan ma? Co się z panem dzieje? Cieszę się bardzo, że pana widzę.

Patrzący zatrzymał się na pokładzie, po chwili znikł na moment, powrócił jednak znowu, uzbrojony w lunetę, którą skierował na „Jutrzenkę“. Chwilę patrzył, wreszcie zaczął również dawać znaki ręką i zawołał:

— Dzień dobry, Jakóbie — cóż ty tu robisz?

— Jestem w drodze do Australii.

— Dokąd?

— Do Sidney, Neu-Süd-Wales.

Marynarz, stojący na pokładzie „Termopili“, prawdopodobnie kapitan, potrząsnął energicznie głową i puknął się wskazującym palcem w czoło.

— On nam nie wierzy — zwrócił się Jakób do swych towarzyszy, przyczem najdzikszymi giestami starał się przekonać kapitana o prawdzie swych słów. Rozmawiać dalej nie mógł, gdyż „Termopila“ oddaliła się już poza doniosłość głosu.

— Jak ona leci! — zawołał Jakób w zachwycie. — Żeby to nam rzuciła linę i poholowała nas!

— O tak! — przyświadczyłem, podczas gdy wzrokiem z podziwem ścigałem wspaniały statek. — Nie potrzebowalibyście wtedy być w drodze pięć do sześciu miesięcy.

Kiedy o trzy na dwunastą Abraham znowu zjawił się na pokładzie, aby zmierzyć południową wysokość słońca, błyszczały jeszcze szczyty żagli „Termopili“, jak słaby blask perłowy na krańcu horyzontu. Fale szły bardzo wysoko i z dreszczem myślałem o tem, coby się z nami stało było, gdybyśmy jeszcze byli na tratwie.

Abraham stanął szeroko na środku pokładu i zaczął odwiecznym kwadrantem wymierzać wysokość słońca. Ze zdumienia i podniecenia przesunął przy tem swą czapkę z jednej strony głowy na drugą i wykrzywiał twarz bardzo komicznie.

— Ale to dzisiaj długo trwa — szepnął Jakób.

— Wszystko ma swoje znaczenie, milcz ty i pozostaw mnie te rzeczy! — wezwał go Abraham z godnością do porządku.

— Ośm stopni! — ryknął następnie w tryumfalnym tonie, spuszczając po chwili kwadrant i wyciągając z kieszeni olbrzymi srebrny zegarek, który trzymał w odległości długości ramienia od siebie.

— Niech mnie Bóg skarze, jeśli teraz w Deal nie jest dokładnie pierwsza godzina w południe! — oświadczył zadowolony. Usiadł potem na przedniem siedzeniu, dobył z kieszeni olbrzymi notes z ołówkiem i zaczął z urzędową miną robić obliczenia szerokości. Nie przychodziły mu one jednak łatwo. Przez chwilę patrzył w niebo, potem podrapał się za uchem, wreszcie dobił do końca. Spojrzał z wyższością dokoła na nas i odetchnął z ulgą:

— Tak, z tem więc skończyliśmy!

Następnie zabrał się do pakowania z powrotem przyrządów. Na tem jednak nie kończyły się jego obowiązki jako kierownika statku.

Ciąg dalszy nastąpi.



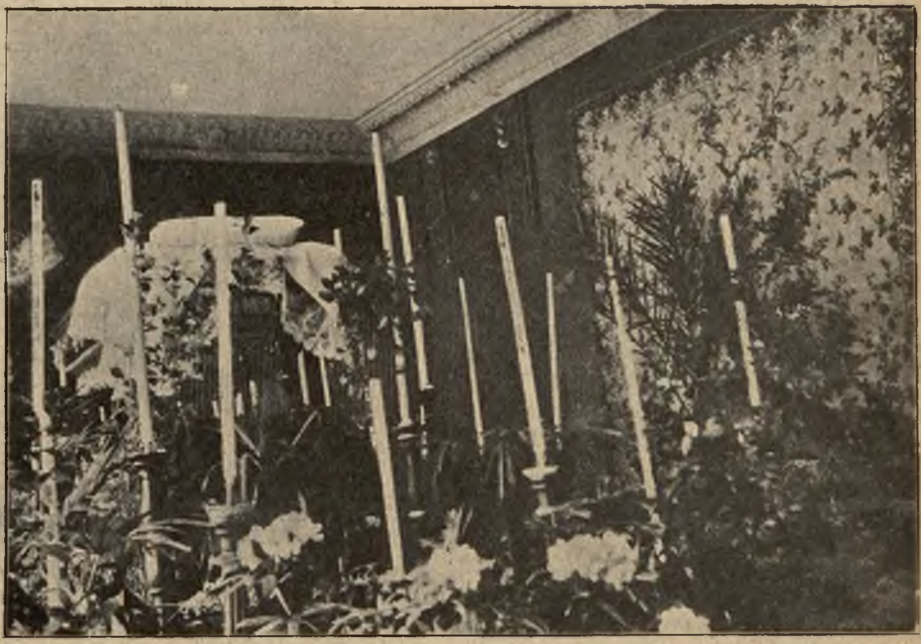


Tajemnica parku w Teresinie:

Pałac w Teresinie. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa). Droga, którą ks. Drucki-Lubecki ostatni raz jechał i gdzie znaleziono same konie.



Dziewczęta, które słyszały strzały, dane do ś. p. ks. Druckiego-Lubeckiego.



Katafalk ze zwłokami ś. p. ks. Druckiego-Lubeckiego.



Tajemnica parku w Teresinie: Miejsce zbrodni ze zwłokami ś. p. Władysława ks. Druckiego-Lubeckiego. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).

Kronika tygodniowa.

Kończąc poprzednią kronikę, w której wspomniałem o demonstracyi flotowej u wybrzeży czarnogórsko-albańskich i odczepnem, ofiarowanem królowi Mikołajowi w kwocie trzydziestu milionów koron za odstąpienie od oblężenia miasta Skutari, ani myślałem, że czeka nas znowu niespodzianka.

Wieczorem, gdy kronika była już złożoną, a numer szedł pod prasę, nadeszła do Krakowa wieść, że Skutari zdobyte przez Czarnogórców, a król ich urządza tryumfalny wjazd do miasta, aby tam obchodzić święta wielkanocne.

Nie chciałem temu początkowo wierzyć, zdawało mi się, że to zwykła kaczka dziennikarska, choć Miecio z „pod Obrazu“ przekonywał mnie, że to „co stoi w gazecie“ jest świętem...

Wobec tego, że jest on mym doradcą w sprawach politycznych, nie pozostało nic innego, jak uwierzyć. Aby jednak nie mieć sobie nic do wyrzucenia, postanowiłem pójść za przykładem *Nowin* i zatelegrafowałem do Cetynii z zapytaniem, czy to prawda.

Otrzymałem odpowiedź następującej treści:

„Czyniąc zadość kronikarskiej ciekawości donoszę, iż Skutari zdobyłem, gdyż nie mogę pozwolić na to, aby jakaś tam Europa grała na nosie Czarnogórze. Na odszkodowanie gwizdam i tak dostanę je, jeśli zażądam. Łączycie wy Podgórze z Krakowem, ciekawy jestem, dlaczego ja nie mam tego samego zrobić z Cetynią i Skutari?... Czy ja to gorszy, jak wasz Leo?... Chciał mnie Berchtold wykiwać, tymczasem jego samego to spotkało i to nie po raz ostatni...

Pozdrowienie!

Król Mikołaj“.

Nie ulegało więc żadnej już kwestyi, że Czarnogórcy stali się panami twierdzy, spodziewaliśmy się, że wobec tego mocarstwa europejskie wezmą, jak to powiadają „na ambit“, wysadzą na ląd swe wojska i wypędzą Nykitę z prosa.

Tymczasem stało się zupełnie inaczej!

Europa po prostu zbaraniała, jedne tylko Włochy odezwały się, ale nie w tym tonie, jak się spodziewano. Zamiast protestu, wobec bagatelizowania sobie woli dyplomacyi przez jakąś tam Czarnogórę, z Rzymu wysłano depeszę gratulacyjną do Cetynii. Królowa Helena winszowała swemu papie z powodu odniesionego zwycięstwa.

Twierdzono wprawdzie, że Austrya sama zdecyduje się na krok stanowczy i wkroczy *via* Sandżak do Czarnogóry, król Mikołaj oświadczył jednak całkiem seryo, iż w odpowiedzi na to zbombarduje Cattaro...

Cóż więc robić?... Trzeba było położyć po sobie uszy.

I zapanowało w Europie „płodne w myśl milczenie“, oraz kiwanie głowami i palcami w bucie...

Dyplomaci powiedzieli sobie:

— No! Niech tam Mikołajek cieszy się zdobyczą, po świętach, gdy się ogłosi królestwo albańskie, jego się stamtąd wykurzy, a nasza powaga będzie uratowaną!

A on im na to:

— Figa z makiem! Jeślim tu wlazł, to nie poto, by stąd się ruszać!

Nie traciono więc nadziei, że wszystko skończy się jak najlepiej, tymczasem pokazało się, że król Mikołaj, to figlarz, jakich mało!

Nie dość, że „krakowskim targiem“ doszedł do posiadania Skutari, ale na dobitek z Essadem-baszą zrobił jakiś techtel-mechtel i pozwolił mu wraz z całą załogą, prowiantami i amunicyą wyruszyć z miasta. Dziwiono się, co to będzie, a tu, jak grom z jasnego nieba, leci wiadomość, że Essad ogłosił niezawisłe państwo albańskie pod protektoratem Turcyi i zamianował sam siebie jego księciem!

Tego było już Europie zadużo, zbaraniała do reszty!...

Jak ongiś, w chwili wybuchu wojny bałkańskiej, gdy doszła nas wiadomość, o utworzeniu Unii, wielbiliśmy geniusz polityczny króla Ferdynanda, który w kozi róg zapędził całą europejską dyplomacyę, tak znów teraz podziwiać musimy spryt, przytomność umysłu i polityczne wyszkolenie króla Czarnogórców, faktycznie kierującego obecnie losami Europy.

I kto wie, czy nie nastaną czasy, że w Cetynii będzie szkoła, w której będą się kształcić przyszli kierownicy gabinetów, ministrowie i dyplomaci.

To była jedna niespodzianka, drugą mieliśmy z pogodą.

W ubiegłym tygodniu pisałem kronikę ręką skostniałą z zimna, na ulicach szalała śnieżna zawieja, a biedni Krakowianie brnęli po pas w śniegu, dziś zdaje mi się, że jestem w środkowej Afryce i powiadam sobie w cichości: A bodaj pękł ten, kto wymyślił gorąca!

Krakowianie, korzystając z pięknej pogody, wyruszyli też w niedzielę *in gremio* na Błonia, które są krakowskim Praterem, zaroiło się od wycieczkowców na Woli Justowskiej i Bielanach, w mieście nastała taka cisza, jak po wojnie lub epidemii.

Nawet knajpki opustoszały, wieczorem zato, gdy zmęczeni podróżnicy powrócili do miasta, nie znalazłeś nigdzie wolnego miejsca, a każdy eleuteryk szarpał z głowy ostatnie resztki włosów, widząc, jak narodek delektuje się nektarem pilznenskim i ze złości... sam kazał sobie dać bombkę!

Niżej nie podpisany, jako poważny ojciec rodziny, powinienby właściwie był wyruszyć także na świeże powietrze z całym swym żywym i martwym inwentarzem, niestety, trzeba było zostać w domu, aby pozbierać materyały do kroniki tygodniowej.

Główną uwagę poświęciłem wiadomości, jaką przyniósł nieoceniony *Kuryerek* w artykuliku p. t. „Co myślą młode dziewczęta o mężczyznach“, gdyż, choć szósty krzyżyk dźwigam na karku, jeszcze tam człek od czasu do czasu lubi się oglądnąć za podwiką, jeśli *nota bene* młoda i ładna...

Otóż, dowiedziałem się tam, że jedno z pism paryskich rozpisało niedawno ankietę z zapytaniem do swych młodych czytelniczek, jakie, według ich zdania, są najpaskudniejsze wady współczesnego mężczyzny.

Odpowiedzi nadeszło podobno tak wiele, że redakcya nie mogła sobie dać z niemi rady.

Dowiedzieliśmy się z tego, że największym błędem u młodych mężczyzn jest egoizm, który jest powodem, że nie chcą wstępować w związki małżeńskie.

Padło nań powyżej dziesięciu tysięcy głosów.

Z kolei do tych grzechów głównych należą: próżność, niedbalstwo, rozpusta, karciastwo, pijaństwo, nadużywanie sportu, niestałość, skąpstwo, nierycerskie postępowanie, zazdrość, złość, a na samym końcu *risum teneatis...* głupota!

Niechże więc każdy z P. T. Czytelników zrobi dokładny rachunek sumienia i zastanowi się, do której z wad się poczuwa, a, co za tem idzie, niech się stara co rychlej poprawić, aby nie być opiniony, naturalnie przez płeć piękną!

Rzecz prosta, że znalazły się i takie niewiasty, które uważają mężczyzn wogóle za największe złe na świecie, ale są to przeważnie stare panny, które, choć szukały, nie znalazły amatora. Że są zgorzkniałe z tego powodu, temu ja się nie dziwię, wiem dobrze, że każda z nich miała jak najszczersze chęci...

Co mnie jednak w całej tej ankiecie najbardziej uderzyło, to owo wyróżnienie głupoty, która znalazła się na samym końcu. Wytłumaczyłem sobie, że stało się to z tego powodu, iż każda kobieta woli mieć z głupim mężczyzną do czynienia, niż z mądrym, gdyż takiego łatwiej prowadzić za nos.

Przy tej sposobności wpadł mi do głowy doskonały projekt, który, gdyby się dał w czyn wprowadzić, położyłby kres pladze staropanieństwa i zmniejszył szeregi sufrażystek, dających się już porządnie we znaki.

Powinno się po prostu urządzić rodzaj licytacyi. Młodzieniec, mający ochotę wstąpić w związki małżeńskie, a nie mający potrzebnej monety, puszcza sobie w świat, dajmy na to dziesięć tysięcy losów, każdy po pięć do dziesięciu koron. Losy te mogą nabywać niewiasty, mające ochotę wieniec panieński zamienić na czepiec małżeński. Gdy już losy rozsprzedano, odbywa się ciągnienie, naturalnie pod dozorem władzy.

Jest tylko jedna jedyna główna wygrana.

Szczęśliwa posiadaczka wygrywającego losu ma obowiązek wyjść za mąż za „wygranego“ męża, a wraz z nim otrzymuje w dzień ślubu i posag, to jest pieniądze za sprzedane losy, w kwocie pięćdziesięciu do stu tysięcy koron, które tymczasem składało się w kasie.

Zarzuci mi ktoś może, że to bardzo ryzykowna rzecz, można bowiem fatalnym zbiegiem losu dostać starą i brzydką babę, ja dodam, że na otarcie łez otrzyma się przecież sporo gotówki. Popatrzmy zresztą na świat. Teraz, gdy nie znają jeszcze proponowanego przezemnie losowania, czyż mało mamy tego rodzaju stadeł małżeńskich, gdzie młody człowiek bierze sobie starego i brzydkiego babsztyla z tego jedynie powodu, iż ma on należycie wypchany worek? Jeśli dotąd tak się działo, może być tak samo i nadal, choć pod inną formą.

Sądzę, że w ten sposób, dopomoże się do ziszczenia marzeń wielu osobnikom rodzaju męskiego i żeńskiego, które w innym wypadku nie byłyby mogły zakosztować słodyczy małżeńskiego pożycia i spodziewam się w nagrodę za to, jeśli nie pomnika, to bodaj jakiej pakaźnej nagrody w gotówce.

Aby się tylko nie dowiedział o tem pan inspektor podatkowy! Gotów mi zaraz wymierzyć od niej podatek, ci panowie bowiem nie robią sobie żadnych skrupułów z tego, czy coś się ma już, czy się tego dopiero spodziewa. Walą podatek, aż trzeszczy.

Przypomniało mi się opowiadanie ś. p. Lama, który, bawiąc gdzieś na południu, dostał się w ręce korsarzy. Zawiedziono go przed oblicze wodza, rezydującego na samotnej skalistej wysepce. Ku wielkiemu zdziwieniu swemu, nieodżałowany nasz humorysta natknął się na rodaka, władającego doskonale językiem polskim.

Gdy się herszt dowiedział, kogo ma przed sobą, darował mu życie i wolność, kazał nawet obdarzyć na drogę.

Odchodząc, pożegnał go ś. p. Lam słowami:

— I nie czujesz też pan wyrzutów sumienia, że się zajmujesz tak haniebnem rzemiosłem?

A herszt na to:

— Cóż ja na to poradzę! To już u nas familijne!

— Więc i pański ojciec był korsarzem!

— Nie panie!

— Czemże więc u licha?... Chyba bandytą?

— Nie, łaskawco! Był sobie zwykłym ot inspektorem podatkowym w Galicyi!...

Że zaś nasza c. k. śruba podatkowa funkcyonuje rzeczywiście precyzyjnie, o tem niema chyba dwu zdań.

Zresztą każdy dzień przynosi nam nowe dowody.

I tak, poniedziałkowa *Reforma* donosi, że w chwili największego naprężenia wojennego w Galicyi, niejaki pan dr. R. z Krakowa wymyślił jakieś ulepszenie, mogące mieć dla armii wielkie znaczenie, a nie chcąc być tym brysiem, co to sam siana nie jadł, ale koniowi ruszyć go nie pozwolił, zawiadomił o tem listownie ministerstwo wojny we Wiedniu.

Po niejakim czasie otrzymał stamtąd piśmienne podziękowanie, nie wiedział jednak, że czeka go i nagroda...

Nie upłynęło bowiem wiele czasu, a tu puka do jego podwoi pan w urzędowej czapce z bączkiem i przynosi nakaz zapłaty... A zgadnijcie P. T. Czytelnicy za co?... Za nieostęplowanie podania do c. i k. ministerstwa wojny kara w gotowiźnie taka a taka!

Ucieszył się poczciwina ogromnie i dał sobie słowo, że *primo* nigdy nie będzie się bawił w wynalazki, *secundo,* gdyby zaś kiedykolwiek wpadł na jakiś pomysł, choćby nawet najbardziej epokowy, nikomu ani słowa o tem nie piśnie, w szczególności zaś wyrzeka się uroczyście wszystkich stosunków z c. k. władzami.

Powiedzcie więc, Czcigodni Obywatele i Obywatelki, czy ś. p. Lam przesadził bodaj odrobinę?

Skoro już wpakowałem się w podatkowe błoto, trzeba w niem brnąć dalej...

Krakowska rada miejska, cierpiąca zawsze na suchoty kieszeniowe (nie osobniki, ale całość, jako reprezentacya stołecznego grodu!), po kinematografach zabrała się do psiego rodu i opodatkowała go po piętnaście koron od sztuki bez względu na płeć i rasę.

Dobrze jednak psom, to im się należało, gdyż zaczęły sobie pozwalać już zawiele! Nie dość, że lekceważą sobie w sposób rażący przepisy o zanieczyszczaniu miejsc publicznych, że dopuszczają się różnych niemoralnych wybryków, ale żyją przecież nad stan, jak to widzimy z ogłoszenia weterynarza Liebeskinda w *Czasie,* donoszącego o otwarciu zakładu kąpielowego dla psów!

Jeśli je stać na podobny zbytek, niech płacą podatki!

Wojną domową groził natomiast wniosek radcy Perosia, aby opodatkować i koty! Stare panny postanowiły ogłosić świętą wojnę przeciw nieprzyjacielowi swych ulubieńców i odmawiały nowennę na intencyę zjedzenia go przez myszy (à la król Popiel w Kruszwicy).

Dzięki Bogu skończyło się na niczem, tylko psy mają opłacać podatek, kotki pozostały nadal wolne.



Z teatru: Dr. Leopold Kampf, zmarły niedawno autor „Bociana“, ostatniej premiery w teatrze krakowskim.

Z teatru.

„...W pełni nadziei wielkiej sławy, w pełni młodości i twórczych sił zgasł mój przyjaciel, podziwiany, genialny autor dramatu „Le grand soir“, ulubieniec paryskiej publiczności, która przez 305 wieczorów oklaskiwała z entuzyazmem tragicznych bohaterów, stworzonych jego przepyszną, bogatą fantazyą“.

Tak pisał w paryskiej *Comoedia illustre* Paul Hyacinthe Loyson, słynny redaktor *Droit de l'homme* o młodym, przedwcześnie zmarłym Krakowianinie, autorze „Bociana“, sobotniej premiery w teatrze krakowskim, drze Leopoldzie Kampfie.

Karyera literacka L. Kampfa była istotnie niezwykłą. Zrażony oziębłością sfer odnośnych do jego twórczości dramatycznej w kraju, wyjechał do Francyi i tam w ciągu półrocza zyskał sobie niebywały rozgłos, gorący entuzyazm wybrednej paryskiej publiczności i przyjaźń ludzi tak znakomitych, jak M. Maeterlinck, Edwards, Anatol France, Catulle Mendes, Noizieres i księżna de Polignac, w której salonach w hołdzie dla wielkiego talentu Kampfa odtworzono niedawno „Le grand soir“ jako operę z muzyką dyrektora Guarnieri.

Talent Leopolda Kampfa obracał się przeważnie w sferze skomplikowanych problemów psychologicznych o niesłychanej głębi i napięciu. Cały szereg nowel młodego autora, jak „Aktorka“, „Królowie“,



Tajemnica parku w Teresinie: Ordynat bar. Bisping, towarzysz ostatniej wycieczki ś. p. ks. Druckiego-Lubeckiego.

„Scena balkonowa“, „Mój przyjaciel Ernst“ i wiele innych odznaczają się subtelną obserwacyą i wytwornym smakiem.

Dramat L. Kampfa „Nina“, który w najbliższej



Tajemnica parku w Teresinie: Ś. p. Władysław ks. Drucki-Lubecki.

przyszłości będzie grany w teatrach warszawskich, we Frankfurcie przysporzył w roku zeszłym młodemu autorowi nowych wawrzynów. Prasa przyjęła dramat z gorącem uznaniem, podkreślając nowość i niezwykłość psychologicznych zawikłań, przepyszną konsekwentną konstrukcyę sztuki, cechującą zresztą wszystkie utwory L. Kampfa.

Jedna z ostatnich sztuk młodego autora, „Bocian“ wystawiona w ubiegłą sobotę w teatrze miejskim w Krakowie, łączy w sobie wszystkie artystyczne walory jego talentu, co zgodnie podkreślają recenzenci.

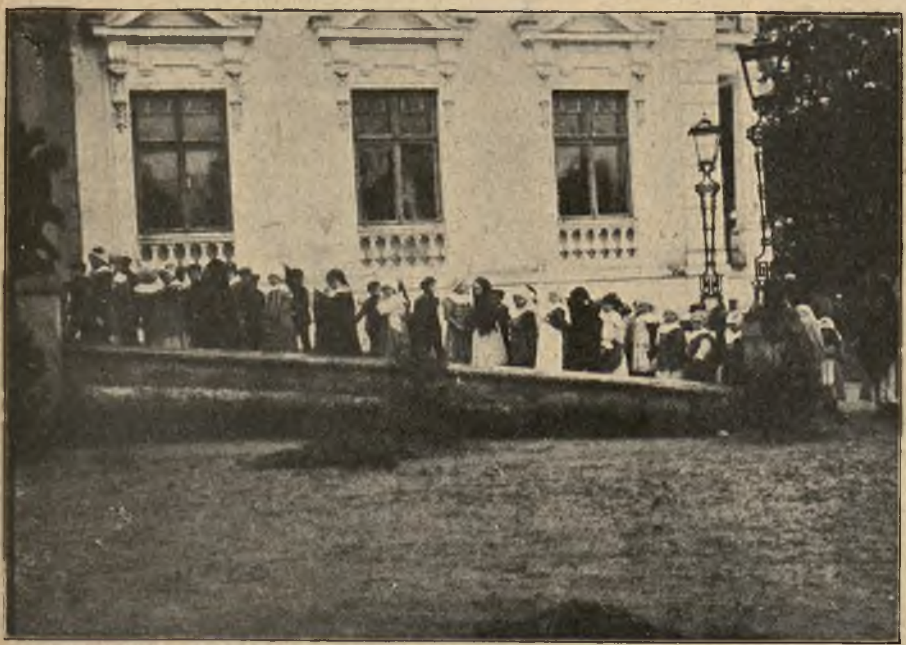
Autor pozostawił bogatą spuściznę literacką i niewykończone plany dramatów śmiałych i oryginalnych, które napewno zdobyłyby sobie podobny rozgłos, jak „Le grand soir“, utwór przetłómaczony na wszystkie języki europejskie, a nawet na chiński.



(Do artykułu na str. 7). **Dwudziestolecie Tow. dziennikarzy polskich we Lwowie:** Grupa uczestników uroczystego zebrania jubileuszowego. (Fot. M. Münz, Lwów).

Tragizm śmierci zgasił przedwcześnie ten młody talent, który przechodząc wszystkie stadya ewolucyi i potężniejąc, miał świetną przyszłość przed sobą.

Jakby w przeczuciu bliskiego końca młody autor kończy jeden ze swych dramatów czterowierszem, który





Tajemnica parku w Teresinie:

Dzieci z teresińskiej ochronki przed pałacem, w oczekiwaniu wyprowadzenia zwłok ś. p. ks. Druckiego-Lubeckiego.

Pociąg ze zwłokami ś. p. ks. Druckiego-Lubeckiego, wyruszający ze stacyi Teresin. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).

był jakby mottem jego życia, przerwanego okrucieństwem losu:

Życie jak sen
— — — — —
Radości dzwon,
Uśmiechu czar —
Rozpaczy kir
Szaleństwa wir —
— — — — —
A potem skon.

Nowy arcybiskup wiedeński.

(Do illustracyi na stronie 10).

Osierocona po śmierci kardynała Nagla stolica arcybiskupia wiedeńska otrzymała w tych dniach nowego pasterza. Cesarz austryacki za zgodą kuryi rzymskiej powołał na to stanowisko prepozyta kapituły klasztoru w Klosterneuburgu, ks. Fryderyka Piffla.

Znany on jest i ceniony w szerokich kołach chrześcijańskich. Pochodzi z Czech. Jako syn chłopski urodził się w Landskron w r. 1864. Po ukończeniu gimnazyum w mieście rodzinnem, służył najpierw jako jednoroczny ochotnik w wojsku, następnie jednak czując powołanie do stanu duchownego, wstąpił w dwudziestym roku życia do klasztoru w Klosterneuburgu. Wyświęcony na księdza, studyował przez pewien czas w Rzymie. Powróciwszy ze studyów był lektorem teologii moralnej w klasztorze, a w r. 1907 został jego przeorem. Godność tę piastował aż do obecnej chwili.

Wstąpienie jego na stolicę arcybiskupią Wiednia jest faktem bardzo doniosłym, gdyż rządy jednej z najpoważniejszych w Austryi dyecezyi obejmuje człowiek stosunkowo młody, znany ze swej energii i lubiany powszechnie. W sercach Wiedeńczyków zapisał się nowy arcybiskup bardzo dobrze, gdyż przed kilku tygodniami stał się przypadkowo bohaterem dnia. Na ulicy, którą przechodził, spłoszyła się para koni i pędziła na oślep, grożąc zatratowaniem przechodniom. Ks. Piffl rzucił się ku pędzącym koniom, chwycił za cugle i zatrzymał rozszalałe konie, narażając się na wielkie niebezpieczeństwo. Po spełnieniu bohaterskiego czynu oddalił się skromnie.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 16.

Logogryf:

K	o	r	a	b
R	e	w	i	e
A	p	a	s	z
S	m	· o	k	i
Z	n	a	i	m
E	r	z	s	i
W	i	z	y	e
S	z	r	o	n
K	o	r	a	n
I	r	e	n	a

Bilety wizytowe: Galicya, Wadowice. Morawy, Znaim. Austrya, Linz.

Łamigłówka literacka: Do matki Polki.

Łamigłówka:

D o n
n i e
m e n
k t o
n o s
l a s
t u r
t o r
a r a
m o c
y a k
o k a
f i s
s ó l
o c h
b a t
o l a
l e w
a g a

Przysłowiówka: Niemało daje, kto daje, co ma i na co go staje.

Zagadka: Ewa.

Trójkąt magiczny:

Z a p o l s k a
A l z a c y a
P o k o s t
O p a w a
L i r a
S a k
K u
A

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Wilczkiewicz Sanok, H. Wiewiórowski Jasło, D Sedyńska Kraków, J. Jakubowska Kraków, K. Osuchowski Warszawa, J. Lipski Kraków, W. Januszewiczowa Warszawa, M. Arbesbauer Lwów, ks. W. Szymanek Krużlowa, K. Fuchs Czeremchów, D. Gross Sanok, A. Rotter Stanisławów, Ch. Rosenblum Borszczów, W. Zachwatowicz Lwów, S. Fiala Lwów, A. Gralewski Kraków, S. Blätterfeind Kołomyja, D. Rosenbaum Rzeszów, M. Krawecki Lwów, A. Bandrowski Częstochowa, J. Kwaśniewski Przemyśl, W. Świrski Piotrków, S. Medyński Zakopane, S. Wysoczański Poznań, S. Karwowski Gniezno, J. Charzewski Kraków, T. Trąbczyński Przemyśl, D. Schwadron Kraków, S. Rogozińska Kijów, H. Wolański Dąbrowa, M. Sokołowska Kraków, T. Kępiński Łomża, G. Górski Petersburg, M. Kunz Czerniowce, K. Reichenberg Cieszyn, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Roland Warszawa, J. Trepka Sandomierz, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, J. Broda Rzeszów, R. Kinalski Kolbuszowa, J. Scholz Przemyśl, H. Nowacka Przemyśl, S. Linderski Jaworów, J. Leszczyński Rozwadów, T. Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim, J. Opolski Tarnów, K. Radziński Lwów, J. Jabłoński Lwów, D. Engelberg Rzeszów, J. Antosz Tarnów, H. Popiel Warszawa, K. Giżyńska Kijów, H. Gliński Kołomyja, J Lewiński Piotrków, R. Michalski Lwów. S. Krzyżanowski Podgórze, K. Ostrowski Sandomierz, A. Biliński Lwów, K. Sroczyński Wilno, H. Bukowska Winnica, J. Maciejowski Lwów, R. Topolnicki Kamieniec, M. Obst Lwów, J. Pick Warszawa, S. Chełmicki Wilno, R. Zenowicz Petersburg, J. Kalinowska Mińsk, K. Kaim Kraków, H. Wincencik Kraków, A Dużak Kraków, A. Siatka Kraków, J. Łopatkiewicz Rzeszów, D. Łopatyński Lwów, K. Ciesielski Warszawa, J. Wysoczański Jasło, A. Więckowska Warszawa, I. Brzostowski Podgórze, J. Strojek Tarnopol, W. Potocka Tarnów, K. Armatys Kołomyja, J. Lisowski Sanok, R. Czarkowski Sokal, D. Chmura Lwów, H Piątek Podwołoczyska, J. Reiter Brody, D. Jahoda Cieszyn, R. Obraczay Morawska Ostrawa, Z. Sperling Wiedeń, H. Trojacka Wiedeń, H. Mróz Janów, M. Zamojski Lublin, J. Cieśliński Rzeszów, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, H. Limanowski Warszawa, R. Gawiński Kraków, Z. Serwański Jasło, H. Kozicka Tarnów, J. Pytel Kolbuszowa, C. Wang Tarnobrzeg, H. Lindenbaum Jasło, M. Klappholz Rzeszów, M. Münz Stryj, S. Karczmarski Poddębie, M. Cichocka Brzeżany, H. Mazurkiewicz Lwów, W. Kownacki Poznań, H. Zegartowska Bogucice, D. Zawadzki Jasło, J. Pawłowski Zamość, M. Rawska Głogów. J. Kruszelnicki Lwów, J. Zachara Mielec, K. Wyka Tarnów, B. Sługocki Lwów, M. Raszka Cieszyn, H. Radomska Kraków, J. Halski Janów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **K. Reichenberg Cieszyn.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Wyścigi konne w Krakowie. Galicyjski Klub Jazdy Panów w porozumieniu z Wiedeńskim Klubem Jeźdźców oficerów zamierza urządzić w drugiej połowie września b. r. na krakowskim torze wyścigowym dla P. P. oficerów i cywilnych **55-cio kilometrowy raid** gościńcami, drogami polnemi i terenem z naturalnemi przeszkodami, przyczem powracający uczestnicy muszą wziąć jeszcze na placu wyścigowym 15—20 różnych przeszkód.

Punkt zborny i start na placu wyścigowym.

Program drugiego, a ewentualnie i trzeciego dnia, będzie obejmował popisy jazdy konnej z zastosowaniem przepisów regulaminu wojskowego, jakoteż konkursa hippiczne t. j. ogólne popisy w jeździe konnej oraz skakaniu koni przez przeszkody. — W dniu 12-go maja b. r. odbędą się już poprzednio zapowiadane konkursa hippiczne oraz Wielki wyścig myśliwski, podczas którego totalizator będzie czynny.

Ze świata kobiecego.

Specyalne działy mody.

Jedną z najtrudniejszych sztuk, które tylko kobiety umieją, jest, będąc w poważniejszym wieku, ubierać się tak, aby ilość lat i specyalne cechy starości przykryć zgrabnością toalety. Nie znaczy to bynajmniej, aby młodzieńczą toaletą się odmładzać. Wcale nie, postępowanie takie należy do wyjątków, gdyż jest śmieszne. Każda z pań zdaje sobie sprawę z tego, że przyjdzie dzień, gdzie nawet najpiękniejsza, najświeższa, która długie lata zwycięsko opierała się wpływowi wieku, przecież uznać będzie musiała, że się postarzała. Dawniej załatwiano taką sprawę bardzo prosto. Barwy jasne sukien zmieniały się na ciemne lub czarne, zaś fantazyjne kapelusze zastępowała kapotka. Dzisiaj dzieje się inaczej. Nie ma już dzisiaj „uniformu“ dla starszych



Suknia letnia batystowa, przybrana falbanami i czarną aksamitką.

pań. Przemiana toalet następuje stopniowo i przeskok do toalet poważniejszych dokonywa się prawie systematycznie, tak, jak postęp wieku.

Kobieta, która znajduje się już w jesieni życia, może dzisiaj, poczyniwszy tylko dyskretne zmiany w fasonach swych młodszych towarzyszek, nosić je również, nie narażając się na śmieszność. Specyalnych modeli dla „starszych pań“ dzisiaj już się nie robi. Wszystko, literalnie wszystko, mogą dzisiaj starsze panie nosić, muszą tylko posiadać na tyle smaku, aby dostosować jasną toaletę do swych białych włosów.

Lekki narzut z koronki potrafi zręcznie stłumić jaskrawą barwę materyi. Pełniejsza trochę draperya zmienia sylwetkę z młodzieńczej na poważną, pełną godności. Tak więc każda toaleta da się przekomponować w inną, z młodzieńczego Dur młodości na Moll starości. Najnowsze mody doskonale nadają się do tej transskrypcyi. Tuniki z muślinu, welony tiulowe, przybrania z koronek, obszycia z puszku, wszystko to nadaje sukniom starszych pań poważniejszy wygląd. Dawniej jedyną ozdobą poważniejszych toalet pań były dżety. Ich włożenie odrazu wyznaczało pozycyę w wieku toalet. Dzisiaj przybierają dżetami swe suknie także młode panie na wieczory i do teatru. Tymczasem nawet babki noszą jedwabne hafty i jasne koronki.

Na codzień noszone są białe suknie z czarnymi lub białymi koronkami *Chantilly*, które doskonale godzą się z siwym włosem. Wysoki kołnierz i długie rękawy, swobodne przybranie stanu, siłą rzeczy noszone są przez starsze panie.

Ogromne bogactwo barw, którymi ten sezon się chlubi, pozwala na to, aby każda z pań mogła dobierać dowolne kolory.



Kapelusz letni, przybrany gazą i rajerem.

Obok tego specyalnego działu zasługuje na uwagę drugi bardzo specyalny dział mody, mianowicie suknie do jazdy konnej. Słyszymy u nas od kilku miesięcy gorące nawoływania, aby wskrzesić znowu ten szlachetny sport. Piękne amazonki, które w zimie musiały z konieczności wobec brzydkiego czasu, siedzieć w domu, obecnie korzystają z pięknych dni. Tem samem zaś amazonka staje się poważnym działem mody. Zasadniczo na zewnątrz nie różnią się obecnie modne amazonki od swych poprzedniczek. I w tej dziedzinie jednak nastąpiła inna zmiana,



Kapelusz letni, przybrany różami i gazowym długim woalem.

która wpłynęła bardzo na fason amazonek. Coraz mniej chcą panie jeździć po damsku i wolą jeździć po męzku. Przez to jednak muszą ubierać się w szarawary po męsku skrojone, które dopiero kryje rodzaj spodnicy obszernej, na dwie strony rozdzielonej. Spodnica ta sięga aż do kostek. Amazonki robione są z sukna i to w kolorze popielatym, a przyozdabiane bywają zwykle dużymi guzikami. Na gorące miesiące modne są amazonki z białego płótna lub *Khaki*, składające się z żakietu i ciemniejszej spodnicy z grubszej materyi. Uzupełnienie kostyumu stanowi krawatka biała pikowa i rewersy cytrynowożółte albo czerwone z sukna. Kapelusz ma fason męski *derby*, t. j. szerokie i płaskie rondo. W lecie kapelusz filcowy zastępuje lekki kapelusik z białej miękkiej plecionki. Ręce pokrywać winny eleganckie rękawiczki w dowolnym odcieniu barwy szarej zrobione z reniferowej skóry. Specyalną uwagę zwrócono na wybór welonów na kapelusze. Welony ciężkie, wiązane pod brodą przeznaczono tylko dla podróży automobilowych. Natomiast amazonki winny się stroić w welony lekkie, na końcach zdobne pięknymi ornamentami kwiatowymi.

Na zakończenie wspomnę jeszcze o dwóch bardzo oryginalnych zdobyczach mody. Jedna, rzecz dosyć praktyczna, choć ryzykowna, to spodniczka, gładka, angielska, która jednak ma tę charakterystyczną rzecz, że nie jest zeszyta i nie zapina się przy pomocy rozporka, ale poprostu z lewego boku od góry do dołu jest rozcięta i zapina się na duże guziki. Wkłada się jak fartuszek i z boku się zapina. Rzecz



Suknia letnia, przybrana bułgarskimi haftami.

prosta, że w miejscu zapięcia materyał zachodzi dosyć głęboko, tak iż niedopuszcza nawet w razie rozpięcia się guzika do jakiegoś niefortunnego wypadku. Zdaje się jednak, że spodniczka taka nie dozna zbyt entuzyastycznego przyjęcia, gdyż nie ma uzasadnionego praktycznego zastosowania.

Druga rzecz, to wchodzące w modę „torebki“ ręczne dla panów. Postawiono obecnie zasadę, że ubranie męskie ma leżeć obciśle. Tymczasem panowie zwykli obficie wypełniać zawsze swe kieszenie różnymi potrzebnymi i niepotrzebnymi gracikami. Amerykanie wpadli więc na pomysł, aby dla panów skonstruować specyalne torebki na wzór damskich.

W.

MICHAŁ MORPHY.

TAJEMNICA POGROMCZYNI.

Powieść z francuskiego.

13

Ferdynand, poważniejszy, obstawał zrazu przy palisandrze, który odrzucono jednak po dyskusyi, jako zbyt pospolity i dobry dla mieszczan. Wobec tego pokonania, młody człowiek uparł się przy drzewie wyspiarskiem i nie chciał za nic ustąpić. A przez ten czas Carboniera przewoził cały swój majątek w jednym kufrze! Ale nikt nie znał tak mało położenia ojca, jak Ferdynand. Nie mówiono mu o nim, oczywiście, nigdy, jako o żydzie wiecznym tułaczu w cygańskiem życiu. Nigdy też nie znał jego adresu. Jeżeli go widywał, to tylko u Monte-Leona. Za życia Anieli, Rózia przychodziła codziennie, ale od roku wizyty stały się rzadkie. Co miesiąc Ferdynand dawał matce stopięćdziesiąt franków z dwustu pensyi, jaką pobierał, ale nie przypuszczał, że rodzice są w rzeczywistej potrzebie. Była to natura wyśmienita i cenił równie wysoko matkę swoją, jak Aniela swojego ojca.

Młodzi i wychowani w dostatku, stanowili cudną parę. Rozmowa ich ożywiła się.

— Więc ty jesteś za bambusem?

— Tak, bo to jasne dla oka i bardzo eleganckie. Spojrz tylko, przyjrzyj się modelowi tego podwójnego łóżka. Czy nie ładne?

— Śliczne, ale jak się zestarzeje, szpetne.

— Zestarzeje! Czyż nie zmienimy mebli z nastaniem nowej mody?

— Mówisz, jak ci wygodniej. Ale czy będziemy dość nato bogaci?

— Niech cię to nie obchodzi, Ferdynandzie. Wiesz przecie, że ojciec mi mówił, iż zawsze mieć będziemy więcej pieniędzy, niż ich nam będzie potrzeba na wydatki.

— A, w takim razie, poddaję się. Niech będzie bambus — postanowione.

— Ale możebyś wolał drzewo wyspiarskie?

— Teraz już nie! Skoro ty wolisz bambus...

— Ależ nie, przeciwnie, ja się zgadzam z tobą. Urządźmy tak, jak ty sobie życzysz.

— Nie, nie, nie, już nie chcę.

— W takim razie, ja chcę.

— Mówisz tak dla zrobienia mi przyjemności?

— Przysięgam ci, że nie.

— Nie wierzę.

— Jesteś nieznośny.

— A ty niemożliwa.

— Panie narzeczony, już nie kocham pana.

— A ja nie rozmawiam z tobą.

— Szkaradnik, obrzydliwiec.

I Marcela zaczęła buczeć.

Ferdynand zakończył kłótnię pocałunkiem i obietnicą, że tak zrobi, jak ona zechce. Narzeczeni, nazywając się od dziecka słodkiem imieniem brata i siostry, tykali się zawsze. To też ich związek zapowiadał się, jak wieczysty miesiąc miodowy. Łatwo przeto pojąć oburzenie Carboniery, gdy Monte-Leon podzielił się z nim swojemi obawami.

Jakto! Taki wstrętny łotr miałby zakłócić ich miłość, miałby czyhać na ich pomyślność, ukryty w jakiej zasadzce? Ach! Jakże by go zdusił chętnie! Sigrist, ten ptak nocny, bujający po nad tem gniazdkiem turkawek!

Nie, anioł miłości bronić ich będzie!

ROZDZIAŁ VIII.

Cień przeszłości.

Zaledwie pocałunek narzeczonych przypieczętował ich zgodę, przybyli z miasta rodzice. Marcela z równą czułością rzuciła się w objęcia ojca jak i Carboniery. Ferdynand z całą miłością szczęśliwego dziecka całował matkę. Carboniera pieścił młodą dziewczynę, którą kochał jak swoje rodzone dziecko. Przejmowało go wzruszenie na widok narzeczonych, tak pełnych szczęścia. Tulił ich oboje do swej szerokiej piersi i tonem tragi-komicznym zawołał:

— Dziatwo miłości bez troski, przypominacie mi jeden z moich romansów sentymentalnych, istniejący w jednym jedynym egzemplarzu!

A przechodząc do myśli bardziej pozytywnych — dodał:

— Słuchajcie, umieram z głodu! Prowadźcież mnie na śniadanie, ażebym je pochłonął.

— Śniadanie! — ozwali się narzeczeni jednogłośnie.

— Ach! to sławne — rzecze cygan — spojrzyj tylko na nich, Monte-Leonie. Nie rozumieją tego, com powiedział... Śniadanie! Co za świętokradztwo!

Poczem poważniej:

— Otóż uważam. Po ślubie będzie zmiana. Mogę was zapewnić, że nazajutrz po weselu rodzi się apetyt bajeczny.

— Możebyś głupstw nie gadał! — wtrąciła Rózia do nazbyt wesołego małżonka.

— No no, nie będę już, nie! Ale jeść! Do kroćset, dawajcie jeść!!

— Nie ma nic gotowego — rzekła Marcela: — ojciec mówił, że nie wróci do domu.

— Zdrada! — krzyknął Carboniera. — Chcą mnie wziąć głodem. Ratunku! Rozbefu, albo zdechnę!

Monte-Leon zadzwonił. Wszedł służący.

— Janie, czy mamy co w zapasach do jedzenia?

— Nie wiele, proszę pana, jest barania pieczeń na zimno i...

Carboniera chwycił go za kołnierz i uniósł w górę.

— Barania pieczeń na zimno i to ma być nie wiele? Cóż ci więcej potrzeba, sybaryto? Przynośże tę pieczeń, a żywo, rozumiesz!

— Przejdźmy więc do jadalni — zaproponował Monte-Leon.

— Ach, to prawda, ty masz osobną jadalnię. A tak, tak, ludzie, którzy wypłynęli, nie odmawiają sobie niczego. Jadalnia! Dla czegóż nie ma jeszcze oddzielnej sali do dłubania w zębach?

Wyjrzał przez okno.

— Spojrzyj no, Róziu — rzekł — ci dwaj nicponie próbują podnieść nasz kufer i rady sobie dać nie mogą. I to mają być ludzie.

— Cóż chcesz, kufer waży conajmniej sto pięćdziesiąt kilo.

— Doróżkarz musi im pomódz. Nie, to nie ma sensu!

I wyszedł, biegnąc. Niebawem dał się widzieć na ulicy i ku wielkiemu zdziwieniu przechodniów, wyrwał kufer z rąk tych, którzy go trzymali, poczem zarzucił go sobie na plecy i wszedł do pałacu.

— Co za siłacz! — rzekł Monte-Leon.

— O co do tego, to fakt! — odparła Rózia z dumą.

— Dosyć bazgrot, to za kosztowna zabawka i nie dająca zysków... wydawcom, — deklamował Carboniera, wchodząc z kufrem na plecach.

— Tu go chyba nie postawisz — rzekła doń żona.

— Dla czego?

— W salonie chińskim?

— Co ty się tam znasz — odparł Carboniera, stawiając kufer na dywanie. To japońszczyzna, nieprawdaż, Monte-Leonie?

— Naturalnie, masz racyę.

— Gdzie ta pieczeń barania, gdzie smażony witlinek morski? — zapytał Carboniera ukazującego się Jana.

— Panie pozwolą, śniadanie na stole — rzekł służący z powagą.

Cygan postawił mu końcem buta przyjacielskiego stołeczka.

— Nie rób że facecyi, trutniu jeden! — rzekł. — Wiesz przecie, że pieczeń jest wyłącznie dla mnie. I każ ją podawać, Janie!

To rzekłszy, skierował się do jadalni. Przechodząc koło jednego z okien, spostrzegł na ulicy człowieka małego wzrostu, wygolonego i całego w czerni, który przepatrywał się idących tam i z powrotem po alei, poczem znikł znienacka.

— Ach! Do tysiąca piorunów! — zaklął Carboniera.

— Cóż tam znowu? — zapytał go Monte-Leon.

— Nic! — odparł — albo nie wiele. I poszedł za przyjacielem. Ale pomimo całej furfanteryi, nie zrobił wielkiej krzywdy ani pieczeni, ani reszcie jadła.

Cóż go tak zaniepokoiło?

— Mniej niż nic! — mówił.

A jednak, poznał kręcący się przed pałacem cień Sigrista, zeszpecony dwudziestoletniem więzieniem. Byłożto podobieństwo czy halucynacya? Czy też ponura rzeczywistość? Spojrzał na Monte-Leona. Rzeźbiarz był pogrążony w głębokiej zadumie. Ale nie groźba zemsty nurtowała mu umysł. Był wdowcem od dwóch lat. Był mężczyzną i artystą, to znaczy dwakroć słaby w miłości... lub w pożądaniu. A obraz kobiety czarująco pięknej błąkał mu się po głowie.

ROZDZIAŁ IX.

Nieszczęścia pana i pani Ducordon.

Przez cały dzień Carboniera był posępny i zafrasowany. Że jednak wrażenia miewał zazwyczaj przelotne, odzyskał przeto wesołość i wmówił sam w siebie, że się pomylił.

— Osioł ze mnie — rzekł — ten karzeł, którego widział, jest wygolony, podczas gdy Sigrist nosił faworyty. To nie pasuje jedno z drugiem.

I zniecierpliwiony ciszą pałacu Monte-Leona, wyśliznął się chyłkiem, nic nikomu nie mówiąc. Udał się do dzielnicy Łacińskiej, której był niezawodnie największem dzieckiem i z „kawalarzami“ conajstarszymi omówił projekt strasznej piły względem swoich ex-gospodarzy z hotelu meblowanego. Nie chciał im darować złej opinii o swojej żonie. Na razie wstrzymał się od chęci połamania im gnatów, ale cofnął się tylko w połowie, obmyślił bowiem zemstę jedną z najuciesznieszych, jakie sobie wyobrazić można. Za powrotem do Monte-Leona o jedenastej wieczorem był w humorze niezrównanym.

— Cóżeś tam zbroił nowego? — spytała go żona.

— Przyszłość pouczy cię o tem — rzekł tajemniczo Carboniera.

I spędził noc cudownie.

Jego hotelarze, którzy nosili bardzo właściwe nazwisko pana i pani Ducordon (Sznurkiewiczów) spędzili ją mniej pomyślnie.

. . . .

W kilka chwil po odejściu Carboniery służąca hotelowa poszła sprzątnąć jego pokój. Zbiegła po chwili wzburzona, oświadczając, że wszystkie szuflady, szafy ścienne i długi kufer były całkiem puste. Pan Ducordon, zmiażdżony ciężarem tej okropnej wiadomości, uderzył się w czoło.

— Jesteśmy wystrychnięci na dudków, rozumiem wszystko.

— A to nas urządzili dopiero! — rzekła z goryczą jego żona.

— To była komedya.

— Rachunek nasz dyabli wzięli!

— A nasza porcelana w kawałkach.

— Łotry! Zadrwili z ciebie, jak z durnia!

— Czyż mogłaś przypuszczać? Przecież tuzowali się jak ulicznicy.

— A klęli całym stosem przezwisk. Ona go przezwała nawet geometrą.

Sam jesteś jak geometra! — rzekła pani Ducordon.

Mąż odsapnął groźnie.

— Ejże, strzeż się! — rzekł — będziesz tego żałować.

— Patrzajcie mi, co za wielkość! A czy ty wiesz, co to znaczy geometra?

— Nie wiem, ale to wiem, że jak się już wszystko wyp!uje ze siebie, to się dodaje: geometra! Słyszałem na własne uszy.

— A to głupiec! Wyśmiali cię, nic innego!

— Jakto?

— Mówisz, że wymyślali sobie od geometrów?

— Tak, i wtedy zaczęli się bić.

— Ależ to żadne przezwisko.

— Może komplement, co?

— To profesya, zawód, tak dobry, jak każdy inny, toż pod 28-mym obok nas mieszka jeden pan. chudy, wysoki, który jest geometrą

— A to mnie dopiero wzięli! — jęknął Ducordon.

— Idź-że natychmiast do komisarza policyi.

— Naturalnie, każę zaaresztować oboje.

I portyer udał się do komisaryatu. Wkrótce powrócił z niczem.

— I cóż? — zawołała żona — zastałeś komisarza?

— Zastałem — odparł pan Ducordon zmartwiony.

— I cóż ci powiedział?

— Powiedział mi tak... goń ich pan, a jak pan ich dogonisz, odstaw pan lokatora do sędziego pokoju.

— Jakto? Więc nie wsadzą go do kryminału?

— Nie, nie ma sprawiedliwości we Francyi.

— Mogliby nas pozabijać bezkarnie — rzekła nieszczęsna odźwierna.

Następny dzień minął bez przygód. Pan Ducordon wywiesił kartę z napisem: „Małe mieszkanko z meblami do wynajęcia“. Nikt się nie zgłosił. Wieczorem, małżonkowie udali się na spoczynek, srodze pomartwieni. Około jedenastej dał się słyszeć dzwonek.

Sznur pociągnięto, ale nikt nie wszedł.

— Znowu jakiś kawał — zaklął portier — paskudna dzielnica.

Wstał w koszuli i pobiegł zamknąć drzwi frontowe. Gdy już małżonkowie zaczęli usypiać, zbudził ich nowy odgłos dzwonka.

— Co to może być? — zapytał pan Ducordon.

— Już tylko ta mała z trzeciego i jej mąż nie powrócili dotychczas.

— Niechże poczekają tedy.

Odźwierni wytrzymali czas jakiś przed otwarciem, dopóki dzwonek nie rozległ się pięć do sześciu razy. Ale nie była to ani mała, ani jej małżonek. Wypadło po raz drugi drzwi zamknąć.

No, to już przechodzi wszelkie granice! — burknął pan Ducordon.

Żona pocieszała go.

— Nie otwierajmy wcale. Ci z trzeciego nie wrócą. To im się często zdarza.

Zasnęli znowu. Około pierwszej zrana, gdy już zacni małżonkowie spali snem głębokim, dzwonek rozległ się z całą gwałtownością. Portier z przyzwyczajenia machinalnie pociągnął za sznurek. Żona obudziła się także.

— Dla czegoś otworzył?

— A no... ktoś dzwonił — wycedził drzemiący Ducordon.

— Nikt nie wchodzi.

— Jeszcze psota — jęknął żałośnie hotelarz. — Od czegoż jest ta policya, mój Boże?

I wściekły, wyskoczył z łóżka, pochwycił miotłę i wybiegł na korytarz.

Otworzył drzwi raptownie i spotrzegł uśmiechającego się mężczyznę, który zapytał.

— Czy ty masz prawowitą żonę?

I zadawszy to osobliwsze pytanie, pociągnął nagle odźwiernego do siebie, na ulicę, a drzwi za nim zamknął, poczem ulotnił się.

Pan Ducordon znalazł się na chodniku w koszuli nocnej z miotłą w ręku o godzinie pierwszej w nocy. Dzwonił, dygocząc. Oczywiście, żona ani myślała otworzyć, przypuszczając nową psotę. Na to nadeszło dwóch młodych ludzi, którzy jęli hałaśliwie wyrażać swoje zdziwienie.

— To jakiś waryat! — rzekł jeden.

— Albo lunatyk — dodał drugi.

— Panowie — jęknął biedny hotelarz — jestem ofiarą złoczyńcy... Femciu, otwórz mi, jestem na ulicy!

A młodzi ludzie dalejże za nim:

— Femciu, on jest na ulicy! Otwórz, małżonko bombiasta, nie mniej jednak prawowita.

Drzwi się otwarły. Odźwierna usłyszała żałosny głos małżonka. W minutę później, drzwi do loży odźwiernych otworzono raptownie.

— Cóż tam takiego? — spytała pani Ducordon.

— Pytanie pozostało bez odpowiedzi, tylko kołdrę odrzucono, a nieszczęśliwa kobieta poczuła, że ją unosi jakiś brodacz.

— Ach, satyr!

Ciąg dalszy nastąpi.

Z historyi introligatorstwa.

Introligatorstwo, jako sztuka wiązania i zszywania oddzielnych kartek w całość stanowiącą książkę, było znane wcześniej, aniżeli drukarstwo. W starożytności rękopisy przechowywano w ozdobnych futerałach. Już wtedy jednak zaczęto tworzyć coś w rodzaju naszych książek. Owe kodeksy, znane tak przez Rzymian, składały się z szeregu cienkich tabliczek drewnianych, zapisanych po obu stronach, a związanych sznurkami i połączonych wspólną okładką.



Samodzielnie jako zawód rozwinęło się introligatorstwo dopiero po wynalezieniu i rozpowszechnieniu druku i w miarę postępu doskonaliło się coraz bardziej. Przez długi czas jednak praca introligatorska wykonywana była prawie wyłącznie ręcznie.

Obecnie pod tym względem wiele się zmieniło. Introligatorstwo w Polsce ma bogatą swoją historyę i poszczycić się może niejedną wspaniałą pracą. W naszych miastach istnieje teraz szereg zakładów introligatorskich, które zdobyły sobie już szeroki rozgłos. Pracownie, zaopatrzone w nowoczesnego typu maszyny, urzadzone są odpowiednio do olbrzymich nakładów pism i książek, jakie obecnie wychodzą.

W Krakowie zasłużoną sławą cieszy się od dwudziestu pięciu lat istniejący zakład galanteryjno-introligatorski p. **Roberta Jahody, ul. Gołębia L. 4**, który ma wzorowo urządzoną pracownię i którego właściciel stara się w całej pełni utrzymać i rozwinąć tradycye introligatorstwa polskiego

Illustracya dzisiejsza pokazuje wnętrze lokalu sklepowego firmy **Roberta Jahody w Krakowie, ul Gołębia L. 4.**

Zagadki do nagrody.

Zadanie konikowe.

Ułożył W. Zachwatowicz, Lwów.

mro	rań	za	naj	pół	kwia	śnie	szą
nek	kich	noc	szy	wcze	rań	cze	tek
naj	zem	dą	jesz	ze	nie	pios	kwiat
bies	sło	szły	su	śnie	wa	pier	jesz
dmu	nek	z nie	bro	cze	nie	ku	nek
ob	nił	bia	ple	cha	bły	śnie	wio
wro	cha	za	zło	łe	za	le	snął
dzwo	tych	sko	z gór	dwie	ze	snek	wcze

Logogryf ogrodniczy.

Ułożył W. Zachwatowicz. Lwów.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy poda nam rzecz, którą znajdujemy w każdym ogrodzie.

□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Krzew leśny. 2. Owoc południowy. 3. Kwiat ogrodowy. 4. Roślina południowa. 5. Kwiat doniczkowy. 6. Kwiat ogrodowy.

Łamigłówka.

Ułożył W. Zachwatowicz, Lwów.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzą nam ważne zdarzenie polityczne z ostatniego tygodnia.

— le
— an
— sy
— on
— ra
— ot
— ak
— ir
— do
— um
— le
— ak
— ro

Zagadka.

Ułożył W. Zachwatowicz, Lwów.

Wprost to imię żeńskie,
Wspak też, ale męskie,
Dodam zaś, że żyda,
Bo to ci się przyda.

Łamigłówka literacka.

Ułożył W. Zachwatowicz, Lwów.

Znaleźć nazwiska autorów poniżej wyszczególnionych dzieł. Pierwsze ich litery, czytane z góry na dół, podadzą tytuł utworu Sienkiewicza.

Rokita?
W dolinie łez?
Nauczycielka?
Rycerze?
Wrzos?
Małpie zwierciadło?
Fuga Bacha?

Przysłowiówka.

Ułożył W. M.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
S k o c z y W i t. I d z i e t e r a z p o d w ó c h, M a r t a i g ę ś S. N.

Bilety wizytowe.

Ułożył W. M.

Z liter umieszczonych na każdym z biletów, utworzyć nazwę kraju i miejsce zamieszkania odnośnej osoby.

GRACYAN O. O. MALIK

OLGA ALBINA PORTIUZ

CEZARYNA BROSWAJ

Łamigłówka teatralna.

Ułożył W. Zachwatowicz, Lwów.

Z przytoczonych utworów scenicznych wyjąć, idąc z góry na dół, po jednej zgłosce i ułożyć z nich tytuł znanego utworu scenicznego.

Zaczarowane koło.
Komedye miłości.
Otello.
Eros i Psyche.
Juliusz Cezar.
Noc listopadowa.
Marya Stuart.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Stefanii Chłędowskiej*: **Szkice literackie.** 2 tomy.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Wacław Lipiński. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madeiskiego